Nr. 34. Lwów, Niedziela dnia 21. Kwietnia 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

O PRZECHOWYWANIU TRADYCYJNYCH OBRZĘDÓW.

Obecne czasy są chwilą przełomu pojęć w naszym narodzie. Przełom ten jeszcze niedokonany ostatecznie, wiele jeszcze, jak się zdaje, będzie łamania i nieodstępnie towarzyszącego mu trzasku, zanim wyjdziemy z księżycowej, mesyaniczno-romantycznej nocy na białe światło dnia nowego, wszakże jest już rzeczą widoczną, że łamanie się rozpoczęło.

Jeżeli zawsze dobrze jest mieć nieuprzedzone oko, to przedewszystkiem w chwili takiego przełomu, kiedy łatwo z zabytkami prawdziwie szkodliwymi połamać i rzeczy pozornie nieużyteczne, w gruncie jednak nie pozbawione dobroczynnej siły.

Do takich zabytków zaliczamy tradycyjne obrzędy narodowe, towarzyszące czy to większym świętom dorocznym, czy ważniejszym aktom w życiu rodzinnem. Na pozór mogą wydawać się one balastem przeszłości, nieużytecznie zabierającym miejsce w życiu, balastem, który warto bezwzględnie odrzucić wraz z polityką męczeństwa, której mamy już po gardło, wraz z wiarą, że „cud zbawi Polskę“, (a nie nasza własna, mrówcza i pokorna praca), wraz z teoryą, że „tyle życia co jest w pieśni“ i „tyle szczęścia, co człek prześni“, jednem słowem wraz z całym cyklem teoryi, które się mocno zestarzały i strzępkami już tylko powiewają.

Byłaby to jednak wielka niesprawiedliwość traktować tradycyjne obrzędy narodowe na równi z teoryami tylko co pomienionemi. Przestarzałe pojęcia, nie odpowiadające potrzebom narodu, szkodliwie wpływają na jego losy, więc należy je usunąć i zastąpić lepszemi. Stare obrzędy i zwyczaje są daleko niewinniejszej natury; nikomu one nie zawadzają, nawet wtedy, gdy są zupełnie sprzeczne z panującemi pojęciami, jak tego dowodzi Anglia, gdzie obok najpostępowszych pojęć gęsto się napotykają pleśnią wielu wieków okryte obrzędy i zwyczaje, skrupulatnie zachowywane i powszechnie szanowane.

A nie dość, że nie zawadzają, ukryta jest w nich siła, której źle byłoby się pozbawiać. W tej skorupie obrzędowej zsiadła się niejako indywidualność wielowiekowego życia narodu. Życie to może i powinno się doskonalić, może i powinno przyjmować pożyteczne reformy od innych wyżej stojących społeczeństw (bo raz wreszcie zdobądźmy się na pokorę i powiedzmy sobie, że nie stoimy na czele ludzkości), ale nie powinno przy tem wszystkiem wyrzekać się swej indywidualności, a i owszem, im większym zmianom otwiera swoje łono, tem bardziej dbać o zasymilowanie ich, o przystosowanie ich do swej indywidualności. W tej indywidualności jest wiele dobrego, znajdzie się też nie mało złego (gdyby złego nie było, inaczej byśmy dziś wyglądali), więc naturalnie jeżeli mowa o przystosowywaniu do indywidualności, to pod tą ostatnią rozumieć należy tylko dobre pierwiastki składowe. Tak n. p. lenistwo jest bez wątpienia także jednym ze składowych pierwiastków naszej indywidualności narodowej, a przecież najgorliwszemu jej obrońcy nie przyjdzie na myśl zachęcać do czuwania nad zachowaniem tego pierwiastku.

Otóż tradycyjne obrzędy i zwyczaje dają nam, lepiej niż co innego, poczucie odrębnej indywidualności narodu, a wstrząsając nieprzerwanym łańcuchem tradycyi, pozwalają nam sięgnąć uczuciem w czasy dzieciństwa, ba, nawet niemowlęctwa narodu i tym sposobem umacniają nas w tej indywidualności.

Ale indywidualność ta, jak powiedzieliśmy, ma swoje złe i dobre strony, a kładąc pieczęć na zwyczajach i obrzędach, i jedne i drugie swoje strony na nich wyciska. Mamyż, przechowując pilnie stare zwyczaje i obrzędy, w niczem ich nie prostować?

Nie, jeżeli wstrząśnięty łańcuch tradycyi ma w nas rozbudzać uczucia, któremi przez wieki żył naród, to tylko takie uczucia, które mu zaszczyt przynoszą, tylko uczucia szlachetne. Przechowujmy zatem stare obrzędy i zwyczaje, ale uszlachetniajmy je, to jest wydzielajmy z nich wszystko, co nosi na sobie niewątpliwe piętno wad narodowych.

Najlepiej to okazać na przykładzie, a przykład mamy przed oczyma: — Wielkanoc! Ta uczta wiosenna, sięgająca gdzieś czasów zamierzchłego pogaństwa, a później tylko ochrzczona, ze swoim białym stołem, rojącym się obfitością mięsiw i ciast o tradycyjnych formach, z kraszankami, wymownie świadczącemi o swojem pogańskiem pochodzeniu, z barankiem przewodniczącym jej w chrześciańskiej już dobie, i ze swojem „Chrystos woskres“, tym dziwnym zabytkiem słowiańskiego nabożeństwa, — ta uczta, cóż to za radość dla dzieci, co za miłe święto i dla starszych, którzy umieją cieszyć się i szczęściem dzieci i własnemi wspomnieniami z dzieciństwa! A nie dość tego, z tej uczty zalatuje do nas głuche echo wieków, otwiera się przed nami perspektywa gubiąca się w zmierzchu dzieciństwa narodu, naiwna przeszłość przemawia do nas symbolicznym językiem, którego znaczenie odgadujemy, choć często pojedyńczych jego zgłosek odcyfrować już nie możemy.

Przemawia nim do nas starosłowiańska, pogańska radość z budzenia się wiosny, starochrześciańska radość z odnowienia się moralnego przez post, modlitwę i spowiedź, a w końcu staropolska gościnność, znajdująca przy tej sposobności obszerne pole do wylania się.

Czy tylko tyle? Odzywają się i mniej miłe wspomnienia, przypomina się obżarstwo i opilstwo szlacheckie z ostatnich czasów Rzeczypospolitej, ba, i późniejszej daty, przypomina się marnotrawstwo, zarazą idące z góry do dołu. Czyż i dzisiaj Wielkanoc nie bywa u nas często świętem obżarstwa i opilstwa, czyż i dzisiaj wystawa wielkanocna nie staje się nieraz zbytkiem, który o wiele potrzebniejszym wydatkom zagradza drogę?

Ale można przechować zwyczaj wielkanocny, nie robiąc z niego święta obżarstwa i marnotrawstwa. Można zostawić jakość, a ograniczyć ilość, i zwyczaj nic na tem nie straci, a owszem uszlachetni się tylko. Kilka ciast tradycyjnych i parę mięsiw na białym obrusie, ozdobionym kraszankami i barankiem, wystarczy dla uciechy dzieci i dla utrzymania tradycyjnej nici zwyczaju, i nawet dla zadość uczynienia gościnności, która

piękną jest cnotą, ale tylko wtedy kiedy nie kwitnie kosztem cnót innych.

Jak z obrzędem wielkanocnym, tak samo i z innymi zwyczajami tradycyjnymi. Wyzuwać się z nich — niedobrze, ale i pielęgnować w nich to, co podtrzymuje wady narodowe — bodaj czy jeszcze nie gorzej.

Przechowujmy więc stare zwyczaje, ale uszlachetniajmy je!

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

Bolesława Prusa.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Opuszczony.

Jaś uciekłszy od majstra, opamiętał się dopiero na placu teatralnym. Zmęczenie pohamowało go w biegu, powietrze orzeźwiło. Spojrzał do koła i zobaczył ludzi zamyślonych, rozmawiających, lub uśmiechniętych, którzy szli za swoimi interesami, nie mając zamiaru łapać go, ani zakuwać w kajdany. Zrobiło mu się jakoś rzeźwiej i bezpieczniej. Czuł, że w tem miejscu w obec tylu osób łagodnych, pięknych i dobrze ubranych, majster nie śmiał by go bić i nazywać złodziejem. A zresztą niech no by spróbował!.. Jasiowi przyszedł na myśl goniony przrz oprawcę pies, którego uratowali przechodnie. Mieliżby ci sami przechodnie być mniej litościwymi dla niego?...

W saskim ogrodzie śmiałość jego spotęgowała się jeszcze bardziej. Kto go tu chwytać zechce?.. Czy ten siwy a jednak rumiany pan, któremu z niebieskich oczu uczciwość patrzy?.. czy ta w aksamitnej, futrem obłożonej okrywce dama, której prześliczna twarz tchnie miłosierdziem i dobrocią? Czy może ci chłopcy, którzy wyglądają tak, jakby się pobawić i porozmawiać chcieli?.. Niepodobna, aby kto zapragnął skrzywdzić tu, w obec pogodnego nieba, starych drzew szronem okrytych, wiecznie zadumanych posągów, i ludzi przynajmniej na pozór szczęśliwych!

Obszedłszy parę razy ogród, Jaś wydobył się za Żelazną Bramę. Myśli jego uległy zmianie. W miarę oddalania się od eleganckiej części miasta, spotykał coraz więcej ludzi skromnie a nawet nędznie ubranych. Twarze były blade i smutne, spojrzenia jakieś dzikie. Jaś uczuł głód, jednocześnie począł się lękać. Zdawało mu się, że każdy przechodzień patrzy na niego podejrzliwie i gniewnie, że wielu ogląda się za nim i wskazuje na niego palcem. Bez żadnej uzasadnionej przyczyny obawa jego przeszła w trwogę, w paniczny strach, w rozpacz... Przyspieszył kroku, serce poczęło mu bić gwałtownie, nie odróżniał już przedmiotów, a jakiś instynkt począł go do szybkiej ucieczki naglić. Szczęściem ostatnie błyski zdrowego rozsądku powstrzymały go, szedł więc zwolna jak automat, potrącając ludzi i ocierając się o ściany domów.

— Patrzcie! — zawołała jakaś kobieta — ten chłopiec musi być pijany, albo ślepy!..

Jasiowi, gdy to usłyszał, zdawało się, że go coś dusi za gardło; lecz i tym razem nie przyspieszył kroku i po upływie kilku minut znalazł się na mniej ludnej ulicy. W jednej z bram spotkał chudą dziewczynkę i rzekł:

— Pić!...

Dziewczyna napoiła go i coś mu odpowiedziała z uśmiechem, lecz nie zrozumiał jej. Gdy poszła dalej, podniósł głowę machinalnie i zobaczył szyld z napisem:

Ochrona.

Był to przytułek dla dzieci biednych, lecz jeszcze nie tak jak on biednych. Jaś wiedział o tem, zawrócił się więc i powędrował dalej. Dokąd?...

Na placu Wareckim stanął przed ogromnym szpitalem. Tu chronili się ci, nad którymi ciężyła ręka śmierci. Ponieważ dął mu w oczy ostry wiatr, chłopiec skręcił zatem na lewo i dostał się na uliczkę pustą i spokojną. Stracił już wątek myśli, wszelką władzę nad sobą i stał się podobnym do rzeczy martwej, której lada powiew nadaje nowy kierunek. Na pewien, szczęściem dość krótki, przeciąg czasu dusza w nim skamieniała, wrażenia zaś zewnętrzne, nie przenikając ócz, ani poruszając jej, lizały ją tylko jak fale brzeg opoczysty.

Na Nowym Swiecie zbudził go jakiś niezwykły hałas; to gromada ludzi otaczała dwa indywidua, prowadzące pod ramiona jakiegoś obdartego biedaka.

— Co to jest?... — spytał Jaś na los szczęścia.

— Pijanego do cyrkułu prowadzą — odpowiedział ktoś z tłumu.

Chłopiec począł znowu myśleć. Ubogie dzieci mają przytułek w ochronach, chorzy w szpitalach, pijaki w cyrkułach.

Gdzież on się pomieści, on najuboższe dziecko na świecie?.. Chyba w więzieniu!

Jaś był już bardzo zmęczony: nogi pod nim drżały i uginały się, ręce ciężyły mu w sposób bolesny. Czuł głód, lekkie mdłości, sen go morzył, potrzebował spocząć choć na chwilę, lecz nie miał gdzie, miejsca bowiem w ochronach, szpitalach i cyrkułach były już przez innych zajęte, a do więzienia iść nie chciał.

W takim stanie umysłu, idąc ciągle naprzód i potykając się na nierównym chodniku, sierota zwrócił oczy na środek ulicy, po której mnóstwo sanek i powozów przebiegało, i po raz pierwszy w życiu, mając dopiero lat jedenaście, uczuł pociąg do samobójstwa, w tej chwili wyobraził on sobie ból, jakiby mu sprawiły uderzenia kopyt końskich, usłyszał głuchy chrzęst własnych kości, lecz nie czuł trwogi, podobnie jak człowiek, który cierpiąc na ząb raczej z rozkoszą aniżeli z przestrachem myśli o operacyi wyrwania go.

Tymczasem powozy i sanki roiły się jak muchy wśród lata. Jaś stanął. Jeden z przechodniów zepchnął go ze środka flez na krawędź, drugi z krawędzi na ulicę. Z daleka nadjeżdżały wielkie sanie ciągnione przez cztery konie. Chłopiec posunął się jeszcze krok naprzód, machinalnie odwrócił głowę i ujrzał nad sobą olbrzymią postać obarczonego krzyżem Chrystusa, który pochylił się i wyciągnął ku niemu rękę, jakby mówiąc:

— Co ty robisz?...

Jednocześnie, u stóp męża boleści, który tak dziatki miłował, sierota dostrzegł drzwi otwarte; cofnął się więc z ulicy i wszedł do podziemnego kościoła. Siedziba umarłych przygarnęła zmęczone dziecię.

Minąwszy wąski kurytarz, Jaś dostał się do obszernej piwnicy; wyszukał w niej najciemniejszy kącik, usiadł na stopniu zepsutego katafalku i oparł głowę o ścianę. W podziemiu było kilka trumien ze zmarłymi różnej płci i wieku. Najbliżej sieroty leżała jakaś kobieta, nieco dalej mała dziewczynka; Jasiowi przyszły na myśl matka i Antosia, lecz tylko na chwilę. Wspomnienia te nużyły go teraz, nie miał sił ani chęci, zajmować się niemi, natomiast zaś czuł z rozkoszą, że siedzi i że mu jest ciepło. Niebawem zasnął.

Gdy się obudził, czuł pod palcami ręki opartej na skraju paletota jakiś przedmiot mały, płaski i okrągły. Ognie uderzyły mu na twarz, odgadł bowiem, że tu musi być pieniądz. Istotnie, między syberyną a podszewką znalazł pięć groszy, który Bóg wie odkąd leżały tam, aby zjawić się wówczas właśnie, gdy ich potrzebować najbardziej.

Na dworze mrok już zapadał. Jaś kupił trzy podługowate bułki, zjadł je, popił wodą z wodociągu i znowu poszedł na wędrówkę.

Zrobiło mu to dobrze. Był wyspany i najedzony, dla rozrywki więc począł oglądać sklep. W jednym widział stroje eleganckie, w innych biżuterye, owoce, zabawki... Najdłużej zatrzymał się przed pewnym handlem korzennym, w którego oknie siedział porcelanowy chińczyk, kiwający głową i wywieszający język.

Cacko to podobało mu się i począł rozmyślać:

— Jaki tam też mechanizm jest we środku?.. Nagle usłyszał śmiech:

— Hę! hę! hę!...

Za nim stał stary, wynędzniały robotnik, który utkwiwszy zapadłe i obłąkane prawie oczy w twarz chińczyka, śmiał się, ale tak jakoś dziwnie, tak jakoś strasznie, że Jaś pędem uciekł od okna.

— Dla czego tylko jemu i mnie podobała się ta zabawka? — myślał chłopiec. — Dla czego jest tak nędzny, a śmiech jego tak okropny?... bo on dziś jadł, czy także tylko bułki i gdzie będzie spał?...

Gdzie będzie spał... O Boże! a gdzie ja?... I znowu począł się tułać. Stopniowo zamykano sklepy, ruch na ulicach słabnął, światła gasły. Niekiedy na przestrzeni kilkuset kroków słychać było szybki chód przechodnia, lub ziewanie stróża. Turkot dorożek dolatywał z miejscowości bardzo odległych. Wreszcie wszystko ucichło. Na dalekiej wieży wybiła pierwsza, na całej ulicy świeciło się tylko w dwóch oknach.

— Co ja tu pocznę?.. — szepnął sierota. — Co ja tu pocznę?...

Wzniósł oczy do nieba, które w połowie lśniło się jeszcze od gwiazd, a w połowie gęstemi pokryły się chmurami. Sąż to te same gwiazdy, które widywał kiedyś?..

Wielkie i ruchliwe miasto budzi właściwy sobie rodzaj przestrachu w czasie nocy. Jaś uległ tej trwodze tak dalece, że nie śmiał się z miejsca ruszyć; własne kroki przerażały go. Oparł się o słup gazowej latarni i załamawszy drobne rączyny wyjąkał:

Jestem sam!...

Przesadzał; w tej chwili bowiem doleciał go jakiś szelest. Szelest ten zbliżał się stopniowo,

a niekiedy ustawał... Jaś wytężył wzrok i dostrzegł psa biegnącego środkiem drogi.

Za owym psem, który szukał żeru wśród nocnej pomroki, Jaś przeszedł jeszcze parę ulic. Ściemniło się zupełnie, a chłopca ogarnęła senność. Fizyczne i moralne cierpienia jego dosięgły szczytu; najstraszliwszem zaś z nich było uczucie zupełnego osamotnienia. Wiedział, że nietylko był sam, ale, że nadto nie ma już chyba na świecie tak nędznej jak on istoty.

Lecz i tym razem omylił się. O kilkanaście kroków dalej, przy migotliwem świetle latarni, dostrzegł cień przytulony do muru. Poszedł tam ostrożnie i na schodkach jakiegoś sklepu zobaczył siedzącą kobietę.

— Kto tu?.. — zapytał.

— To ja z dzieckiem!.. — odparła przestraszona. — Ja nic złego nie zrobię...

— Nocujesz tu?

— Tak... odpoczywamy. Do domu daleko.

Jaś usiadł przy niej.

— Panicz z tej kamienicy? — zapytała teraz kobieta.

— Nie! — odparł zakłopotany, cichym głosem.

— Może panicz na kolej się spóźnił?...

Chłopiec nie odpowiedział nic.

— Jakoś ciepło na dworze — rzekła znowu, a potem oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy.

Dziecko spało ciągle. Jaś dotknął jego nagiej rączki i wstrząsnął się; była ona bowiem tak pomarszczoną i chłodną, jak to pisklę, które niegdyś z jego winy straciło życie. Teraz przyszło mu na myśl, że go Bóg skarał za śmierć ptaszka; przypomniał też sobie owe piękne, okrągłe gniazdeczko i mimowoli porównał je z tem gniazdem łachmanów, na których spoczywało pisklę rodu ludzkiego.

. . . .

Wkrótce, wśród miasta, na schodach zmarzniętem błotem okrytych, miłosierny sen, lekarz wszystkich cierpiących, ukołysał trzy istoty, pozbawione dachu nad głową.

I On także nie ma dachu nad głową.

Ten, który nieskończoność wypełnia...

. . . .

Rzecz dzieje się na drugi dzień w południe.

Bliżej Wisły wśród zbiorowiska drewnianych domów, na wielkiem podwórzu, widzimy dwie osoby: pewną panią Weronikę i niejakiego Antka.

Panią Weronikę, według jej własnych zapewnień, Bóg stworzył na wielką damę, lecz piorun losu z wyżyny salonów strącił ją na skromne stanowisko śmieciarki. Zgodnie z tem ostatniem powołaniem, 50-letnia Weronika dźwigała na plecach wór z konopnego płótna, w ręku zaś piastowała drewniany ożóg zakończony wygiętym żelazem w formie haczyka lub siódemki. Dodajmy do tego wysoki wzrost przy pochylonej postaci, oblicze noszące ślady walk z przeciwnościami, parę kosmyków siwiejących włosów i garderobę, z której ząb czasu szmaty porobił, a mieć będziemy dokładny wizerunek damy, wołającej obecnie na podwórzu sopranem, który przypomina operę włoską:

— *Kosçji!.. koscji* kupuję!

Antek, stojący o kilkanaście kroków od niej, jest młodym mężczyzną, mogącym mieć od sześciu do dwudziestu lat wieku. Posiada on ex-wojskowy mundur, któremu możnaby zarzucić zbytek dziur w miejscach niepoplamionych, tudzież brak guzików, kołnierza i jednej poły. Głowę wdzięcznie przystraja fantastyczny garybaldyjski kapelusz, lewą nogę kamasz, prawą but z cholewą. Antek prócz tego jest bardzo mały, chudy i na twarzy żółty, posiada nie wiele włosów, nos jak wiśnię i opinię skończonego łajdaka. Był kiedyś na dobrej drodze i roznosił pisma po domach; od czasu jednak, jak na własny rachunek sprzedał kilka egzemplarzy, a kilkadziesiąt rzucił w rynsztok, literatura straciła w nim pracownika.

Od kilku godzin przyjemny Antek nudził się; naprzód bowiem coś go *cklilo we wnętrzu*, a powtóre pozbawiony był towarzystwa. Ponieważ duża śmieciarka miała w sobie coś pociągającego, zbliżył się więc do niej i płaczliwym głosem począł mówić:

— Moja pani!... moja złota pani...

Lamentując tak, trzymał ręce w dziurach pełniących funkcyę kieszeni i czochrał się plecami o biodro wielkiej damy.

— Czego chcesz ty śmieciugo? — zapytała dobrotliwie dama. — A gadaj w lewe ucho, bo na prawe nie dosłyszę.

Gdy się schyliła, Antek począł na całe gardło wrzeszczeć:

— Niech mi też pani da tabaki!.. moja pani w złoto okuta.

— A tobie na co tabaki?..

— Bo widzi pani, jak przechodzę koło *siódemki*, to mnie zaraz w nosie kręci, a kichnąć nie mogę!.. — wrzeszczał chłopiec i znowu obtarł się o nią plecami, jeszcze poufalej niż poprzednio.

Na taką impertynencyą, pani Weronika zakipiała z gniewu i podniosła do góry haczyk wołając:

— Bodaj cię przejechali! bodajżeś zmarniał, ty zdrajco... kapeluszniku!

— Ihii! — krzyknął przeraźliwie łobuz usuwając się na bok i nie wyjmując rąk z kieszeni.

— *Siódemka* ci w nosie kręci? — mówiła dalej oburzona pani. — A czy ty wiesz, że żebyś cały leżał w śmietniku, tobym cię jeszcze nie podniosła, łachmanie jakiś!..

— Jaka mi aksamitna... — odparł chłopiec, pogardliwie plując przez zęby.

Zobaczywszy to, dama krzyknęła w najwyższym gniewie:

— O Boże miłosierny! a czy już sprawiedliwości nie ma na tym świecie, żeby taki kawałek ochłapa, ludzi uczciwych zaczepiał na ulicy i jeszcze pluł przez zęby!.. Poczekaj! zobaczę ja cię jeszcze na Starem Mieście, jak cię będą piętnowali, jeżeli cię za młodu psy nie zjedzą...

Tak odgrażając się, obrażona dama poszła ku śmietnikowi, Antek zaś, zobaczywszy dużą bryłę piaskowca, usiadł na niej i począł nóż ostrzyć z wyrazem takiej obojętności i znudzenia, jakiej najwięksi panowie pozazdrościć by mu mogli.

W tej chwili wszedł na dziedziniec Jaś. Rozejrzał się bojaźliwie dokoła, a spostrzegłszy śmieciarkę, zbliżył się do niej i cichym głosem przemówił parę wyrazów.

— A nie pójdziesz mi tu!... — wrzasnęła nieuspokojona jeszcze dama, rzucając się na sierotę. Dam ja ci tabaki, aż łeb zgubisz, tak, że ci Gazeta policyjna nie odszuka...

Przestraszony Jaś począł pędem uciekać, co widząc Antek zawołał:

— Hej tam!... łobuz!... A chodź ino tu!

Jaś, niepewnym krokiem zbliżył się do ulicznika i stanął opodal.

— Czego ty chcesz od tej sałaciarki, co jej mąż był maszynistą u Bergera? — spytał go Antek.

— Chciałem prosić, żeby mi dała jaką robotę — odpowiedział Jaś po chwili wahania.

— A zkądeś ty się tu wziął? — badał Antek podejrzliwie patrząc na dość przyzwoite ubranie sieroty.

— Z miasta.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, pytał bowiem dalej:

— Co tobie po robocie?

— Jakże co?.. Jeść mi się chce.

— Fiu! fiu! — gwiznął łobuz, a potem dodał. — Mógłbyś przecie sprzedać ten rajtrok, tobyśmy mieli jedzenia na jaki tydzień.

— Ja tam wolę robić — szepnął Jaś.

Antek włożył swój nóż do kieszeni i zamyślił się.

— A możebyś ty do mnie w służbę poszedł — rzekł nagle Antek, patrząc ostro na Jasia. Zadarł potem głowę do góry, ponieważ był od niego niższy.

— Aboś ty co za jeden?.. — spytał zdziwiony uśmiechając się, choć miał do płaczu ochotę.

Pytanie to ubodło widać ulicznika; podrapawszy bowiem w okolicach kołnierza, odparł z wielką godnością:

— Wiesz ty sałato! że przez moje ręce, przeszło już z dziesięciu takich jak ty durniów? Co ty sobie myślisz?.. Tylko się do mnie zgódź, a dam ci jedzenie i takie spanie, że się będziesz pocił w trzaskające mrozy!

— Ha! spróbuję... — rzekł Jaś po krótkim namyśle.

— No, to daj rękę na zgodę! — zawołał ulicznik i uderzywszy go w dłoń z całej siły, dodał:

— Chodź za mną, a dopiero poznasz co jestem za jeden!..

Wyszedłszy ztamtąd i wyminąwszy kilka niezabudowanych uliczek, dotarli do lepianki otoczonej zrujnowanym parkanem. Tu Antek kazał zatrzymać się Jasiowi a sam wszedł na podwórko!

Na tem podwórku stał jakiś wózek, leżała spora kupa piasku, a obok niej, jak żołnierz na warcie, spacerował wysoki barczysty mężczyzna, z rudymi włosami, w półkożuszku i z wyrazem filozoficznego spokoju na twarzy nie odznaczającej się zresztą zbyt wybitną inteligencyą.

Antek skradał się jak wilk, mając widocznie słuszne powody unikania tego zbudowanego mężczyzny. Nie bardzo też zagłębiając się w podwórze, stanął przy furtce i krzyknął:

— Panie Marcinie!.. *Bondziur!..*

Kiedy drab zwolna odwrócił się, uważnie popatrzył na ulicznika i przesunąwszy czapkę od tyłu głowy ku przodowi, odparł:

— Na jeden bok!

— A oddał panu ten Walek, złodziej, woreczki? — pytał Antek.

— Tyś sam złodziej! boś mu worki

sprzedał za kieliszek wódki, choć były nie twoje.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, który począł ostrożnie zbliżać się ku środkowi podwórza, mówiąc:

— Łże jak pies!.. żeby mię Matka Boska skarała... Sam mi wyrwał i jeszcze mię tak strzelił pod oko, że musiałem do doktora chodzić... Żeby mię tak choroba tłukła.

Nader słabo rozwinięty pan Marcin nie wiedział, czy ma wierzyć czy nie wierzyć tej dość dziwnej historyi. Antek tymczasem zbliżył się do kupy piasku i uderzając ją nogą rzekł z westchnieniem:

— Żebym ja tak miał worki... Eh!.. w *mig* bym panu sprzedał tę kupkę.

— Daj co w zastaw, to ci worków pożyczę.

— Uu! także się pana Marcina żarty trzymają — mówił Antek drepcząc w miejscu i wsuwając ręce w rękawy. Ja koszuli nie mam, a panu się tam zastawu żądzi.

— A gdzieżeś ją podział? — spytał ciekawie Marcin.

— Zgubiłem na Krakowskiem. Jakiem — mówię panu — zdjął *paltok,* tak ci psiakość spadła na ziemię, żem jej nie mógł napowrót odrychtować. Niech ją tam choroba tłucze!

Pan Marcin, podrapawszy się w głowę, rzekł:

— Phy!.. i worki bym ci dał i piasku zakredytował, żebym wiedział, że mi nie ukradniesz...

— A mój honor to pies?... — krzyknął obrażony Antek. — Cóż to, czy ja nie miałem intetesów z ludźmi porządnymi? O! i jeszcze z jakimi!

— No! no! — mruknął Marcin i poszedł ku lepiance.

— A i powróz niech pan wytaszczy, bo przecie w pysku nie będę nosił...

— To ty gnacie i powroza swojego nie masz? — dziwił się Marcin kręcąc głową.

— Zkądże mam mieć?.. — odparł zuchwały ladaco. — Przecie jeszcze w lombardzie nie było licytacyi.

W kilka minut po tem, pan Marcin, naładowawszy dwa worki piasku, przywiązał je do pleców Antka, którego pożegnał temi słowy:

— A zaprzepaść mi co, albo kupuj od innych łobuzów piasek nie odemnie, to ci tak podziękuję, że ci zęby za uszami wyrosną!

— Ihi! — wrzasnął łotr na odchodne, dając jednocześnie hasło Jasiowi. Gdy tym sposobem wezwany sierota przybiegł, Antek przełożył na niego swoje worki, mówiąc:

— A co, może nie będzie interesu? Sam djabeł nie odejmie ci tego, co przy mnie zarobisz!

— Cóż ja mam z tem robić? — spytał zdziwiony Jaś, oglądając się niespokojnie na swoje obciążone plecy.

— Jakto co? Będziesz za mną piasek nosił, a ja będę krzyczał i jeszcze będę się frasował o ciebie.

Wkrótce na podwórzach domów w okolicy Nowego Swiatu i Alei Jerozolimskiej, słyszano przeraźliwe wołanie Antka:

— *Ho—pia!... pia—łego!... wiślanego!*

I niepewny głos Jasia:

— Piasku białego.

Takie były owoce edukacyi ukształconego i miłosiernego pana Karola, o którego filantropii szeroko rozprawiały wszystkie dzienniki.

. . . .

(C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

II. Bitwa pod Wilnem w 1831 r.

Dzięki powolności, z jaką polska armia zbliżała się do Wilna, Moskale zebrali w tem mieście dość znaczne siły. 4. czerwca przybył tam jenerał Sulima, 9go jenerał ks Chiłkow, 12go jenerał Saken, a nareszcie 14go jenerał Otroszczenko. Tym sposobem siły moskiewskie urosły do 21 bat. piechoty, 32 szwadronów kawaleryi, 1750 kozaków i 52 dział, a razem około 17.800 żołnierzy.

Z liczby tych wojsk Moskale mogli na spotkanie postępującej armii wyprowadzić z miasta nie więcej nad 12 tysięcy, bo Wilno burzyło się i gotowe było powstać; bezpośrednia zaś obrona miasta, z powodu gór otaczających je, jest niemożliwa.

Pojmując to, głównodowodzący moskiewską armią jen. Saken zostawił w mieście 6 tysięczny garnizon, wysłał oddziały kozaków dla obserwacyi drogi do Niemenczyna i do Wiłkomierza, zkąd się zbliżał Dembiński, a z resztą sił wyszedł z miasta i stanął na Ponarskich górach w poprzek drogi do Kowna, w tem miejscu, gdzie oddzielają się od niej gałęzie na Troki i do Grodna, a mianowicie około kaplicy. Wzmocniwszy pozycyę zasiekami, tymczasowemi fortyfikacyami i wałami z ziemi, za któremi postawił bateryę swoje, Saken miał zamiar bronić się do ostatka, oczekując posiłków, które miały nadejść z Grodna i z Mińska. W samej rzeczy od Grodna szedł na pomoc oddział jenerała Kuruty, a od Mińska jenerał hr. Tołstoj. Przybycie tych wojsk mogło zmienić zupełnie położenie rzeczy na korzyść Moskali. Lecz Polacy w przeważnych siłach stali blisko i awanposty ich już potykały się z przedniemi strażami wrogów.

Giełgud, działając szybko i energicznie, mógł rozbić oddzielnie z początku wojska broniące Wilno, potem Kurutę, a nareszcie Tołstowa; ani jeden z tych oddziałów nie mógł podać drugiemu ręki pomocy, a cała przyszłość kampanii na Litwie i przyszłość obudwu armii opierała się na umiejętności skorzystania z czasu i na dobrem obrachowaniu godzin.

W samej rzeczy, pomimo niepotrzebnie straconych tylu chwil drogich, Polacy mieli możność uprzedzić połączenie moskiewskich oddziałów, bo 16. czerwca jenerał Chłapowski był na rzece Wace, a Dembiński w Bukiszkach, to jest w kilku godzinach marszu od miasta Wilna; jeszcze krok i musiało nastąpić zetknięcie się, które według wszelkiego prawdopodobieństwa musiało wypaść na korzyść Polaków, jako silniejszych w danej chwili. Wszyscy to pojmowali od jenerała do prostego żołnierza, nie pojmował jeden Giełgud tylko i pozostał nad brzegami Wilii z głównemi siłami, obchodząc tam pysznie imieniny swoje. Chłopowski dąsał się i przeklinał. Armia, widząca niezdolność Giełguda i admirując wojenne talenty Chłapowskiego, który niedawno zrobił świetny swój marsz, chciała go mieć reprezentantem niezadowolenia swego i żądała, żeby on przyjął główne dowództwo nad wojskiem. Lecz człowiek ten, posiadający niezmierną ambicyę, nie chciał przyjąć władzy z rąk tych, którzy nie mieli prawa dać mu ją; głośno wyrażając wzgardę swą do Giełguda, wskazywał na omyłki jego, śmiał się z rozporządzeń, rozdmuchiwał niezadowolenie żołnierzy, a jednak nie pozwalał drugim odzywać się źle o Giełgudzie i rozkazywał zamilknąć tym, którzy będąc ośmieleni jego przykładem proponowali mu zbawić armię, przyjąwszy dowództwo nad nią.

Tymczasem niezadowolenie rosło, zwiększało się; żołnierze, u których instynkt zastępował rozwagę, cała Litwa, dla której krok naprzód lub krok w tył był kwestyą życia lub śmierci, oficerowie pojmujący rzecz, nareszcie wszyscy, co wierzyli i mieli nadzieję, ze strachem zapytywali siebie, co się stanie z ekspedycyjnym korpusem, gdy wielkie posiłki nadchodzące ze wszystkich stron przyjdą na pomoc Moskalom i nie pojmowali, jak jenerał, który jeszcze nie stracił rozumu, może wahać się na chwilę. Lecz Giełgud był głuchy, dawał w tym czasie obiady i atak na Wilno odkładał z dnia na dzień. Wielu zaczęło podejrzywać go o zdradę i doszło do tego, że oficerowie napisali prośbę do Skrzyneckiego o zamianę Giełguda na Chłapowskiego. Nie dość tego, zaczęto podpisywać adres do Giełguda od całej armii; na adresie tym już się podpisało 300 oficerów. W adresie prosili go w imię miłości dla ojczyzny, aby złożył główne dowództwo w ręce Chłapowskiego, do którego zdolności cała armia ma największe zaufanie.

Adres nie był odesłany, bo Giełgud dowiedziawszy się o nim, przeląkł się, i widząc, iż niezadowolenie armii sam wywołał swem kunktatorstwem, rozkazał głównym siłom wyruszyć ku Wilnu. Jednak zamiast tego, żeby przejść przez most w Janowie i najkrótszą drogą podążyć do stolicy Litwy, posunął się po prawej stronie Wilii aż do Ojran, gdzie kazał wybudować most dla przejścia na lewy brzeg tej rzeki. Dwa dni stracono na budowę mostu i dopiero 18go armia jego dokonała przeprawy.

Tymczasem garnizon wileński, dowiedziawszy się o zbliżaniu oddziału Kuruty i wzmocniony przybyciem wojsk Otroszczenka, postanowił wysłać silny rekonesans dla rozpatrzenia sił nieprzyjacielskich i dla odrzucenia jak najdalej na północ niepokojącego go oddziału Dembińskiego. W tym celu w nocy z 16. na 17. zrobił dwie wycieczki z północnej strony przez zielony most na Dembińskiego i z południowej z gór Ponarskich na Chłapowskiego.

Zaatakowany przeważnemi siłami Moskali (3 bat. piechoty, 8 szwadr. kawaleryi, 100 kozaków i 10 dział) pod dowództwem ks. Chiłkowa, Dembiński pięć godzin trzymał się na zajętej pozycyi między Bukiszkami i Kalwaryą i wtedy dopiero zaczął reiteradę do Mejszagoły, gdy się dowiedział, że na tyły oddziału jego wysłano znaczne siły, żeby odciąć mu linię odwrotu.

Chłapowski, zaatakowany daleko mniejszemi siłami około wsi Małowanki na rzece Wakka, odbił Moskali i zadał im dość znaczne straty, bo w zabitych i rannych mieli do 200 ludzi. Nad ranem wycieczka w stronę Nowych Trok, dla wejścia w komunikacyę z zbliżającym się Kurutą także ze stratą została odpartą przez ruchawkę Matuszewicza i Zaliwskiego, którzy tu w wilię dnia tego przybyli z Kowna.

Takie było położenie rzeczy 17. czerwca. Obaczmy, co robił oddział jen. Kuruty, dawno

wysłany z głównej armii, a którego w Wilnie oczekiwano z taką niecierpliwością.

Feldmarszałek hr. Dybicz wysłał Kurutę z 6 batalionami piechoty, 12 szwadronami kawaleryi i 20 armatami, to jest około 6 tysięcy ludzi do Grodna, żeby tam uprzedzić Polaków, jeżeli tylko będzie możność. Jen. Kuruta, wychowany w przedpokojach pałacowych, nigdy nie dowodził wojskiem w kampanii, był więc do najwyższego stopnia nieśmiały i niezdecydowany. Oczekując ciągle rozkazów z głównego sztabu, posuwał się powoli przez Łomżę i Tykocin i 6. czerwca przybył do Grodna. Nie mając żadnego planu, nie wiedząc co ma czynić i dokąd się skierować, co chwila posyłał kuryerów do głównej kwatery, zapytując o rozkazy. Wyprowadzony z cierpliwości hr. Tol, który zajął miejsce zmarłego Dybicza, posłał mu burę i rozkaz, żeby nie oczekiwał rozkazów, które z powodu oddalenia mogą przyjść za późno, ale żeby działał według okoliczności i natchnienia. Kuruta był w rozpaczy, gdy mu zwaliło się takie brzemię na barki i dla tego też ucieszył się niezmiernie, otrzymawszy od jen. Chrapowickiego uwiadomienie o niebezpieczeństwie grożącem Wilnu i wezwanie iść mu na pomoc. Wystąpił więc z Grodna 10. czerwca, 14. był w Mereczu, a następnego dnia wyruszył do Oran.

Giełgud miał zupełną możność z częścią swej armii rzucić się na Kurutę i zgnieść go, a przez to zmniejszyć trudność atakowania Wilna i podnieść ducha w swojem wojsku. Lecz opuścił stosowną chwilę i widząc nieukontentowanie armii swej, zdecydował się na bitwę pod Wilnem, pomimo iż okoliczności, które poprzednio sprzyjały mu, już przeszły na stronę Moskali. 20. czerwca postanowiono atakować Moskali. Dembiński otrzymał rozkaz posunąć się ku Niemenczynowi, grożąc oddziałowi tam konsystującemu odcięciem i zaatakować Wilno dnia 20., dla zatrzymania Moskali, jeżeli by mieli rejterować się przez zielony most, a zarazem rozkazano mu strzedz mostu w Ojranach. Rozkaz ten może służyć za dowód zdolności wojskowych Giełguda. Czyż można było takiemu małemu oddziałowi (około 2500 ludzi), przeznaczonemu do takiego ważnego celu jak atak miasta, nakazywać aby osłabiał się jeszcze oddzielaniem części dla obrony przeprawy i zagrażania Niemenczynowi?

Dembiński, wykonywając polecenie i pojmując potrzebę zachowania jak największej ilości wojsk pod ręką, rozporządził jak następuje: w Mejszagole zostawił jedną kompanię piechoty i 30 konnych dla zasłony tworzącego się tam magazynu i zarazem obserwowania mostu w Ojranach, a z głównemi siłami wyruszył do Podbrzezia na jedyną drogę, po której można było odbywać marsz z artyleryą a dla obserwacyi oddziału Moskali, znajdującego się w Niemenczynie, wysłał dwie kompanie piechoty. Z Podbrzezia skręcił na Kalwaryę i tu rozłożył się obozem, wysławszy jedną kompanię w prawo do wsi Klonowki z rozkazem: zająć lasek i porobić w nim zasieki. Oddziałowi temu w razie naporu przeważnych sił polecono było odstępować nie ku Ojranom, dokąd mógł nie zdążyć, lecz na główne siły Dembińskiego. Donosząc o zarządzeniach swych Giełgudowi, jenerał prosił o uwiadomienie, o której godzinie zacznie się atak miasta i o przysłanie mu brakujących kul.

Kuruta, nie dochodząc do Wilna, porzucił swe wojska w marszu i pod zasłoną stu kozaków pojechał naprzód do miasta. Oddział zaś jego przybył 18. wieczorem i powiększył siłę garnizonu do 24 tysięcy przy 72 działach.

Wiadomość o tem, otrzymana tegoż dnia w polskim obozie, jeszcze więcej oburzyła armię, która obaczyła, że dwanaście nieocenionych dni straconych od chwili przejścia przez Niemen w bezczynności, dały możność tak wzmocnić się wrogom że mogli śmiało stawić czoło napastującym. Giełgud wtedy dopiero obaczył skutki kunktatorstwa swego. Oślepiony poprzedniemi zwycięztwami i przerażony ogólnem niezadowoleniem, jenerał tak się zaczął spieszyć do boju, iż postanowił zaatakować Moskali nie 20. czerwca, lecz 19. Odpowiednie rozkazy były wysłane wszędzie, tylko po niepojętej omyłce zapomniano uwiadomić Dembińskiego o zmianie dnia ataku, tak, że jenerał ten dowiedział się o zaszłej bitwie dopiero na drugi dzień po niej.

Szef sztabu jen. Walentyn Hauterive i Chłapowski, widząc przewagę sił nieprzyjacielskich, radzili Giełgudowi nie odważać się na bitwę, lecz Giełgud, jak wszyscy ludzie bez charakteru, obawiając się, żeby mu nie wyrzucono tego braku, upornie stał przy swojem, odpowiadając im: „ja nie chcę się cofać".

Moskiewskie siły na górach Ponarskich rozłożyły się w następujący sposób: Na wzgórzach na prawo i na lewo od kapliczki stanęło 20 dział artyleryi w jednej bateryi pod zasłoną czterech batalionów piechoty, za niemi w rezerwie dwa bataliony gwardyjskiego litewskiego pułku. Wojska te stanowiły środek. Na prawem skrzydle w dolinie Wilii stanęły dwa bataliony gwardyjskiego wołyńskiego pułku z 4 armatami, a za nimi w rezerwie dwa pułki kawaleryi z bateryą artyleryi (12 dział). Dla utrzymania związku między środkiem a prawem skrzydłem jeden batalion piechoty zajął lasek rosnący na pochyłości gór Ponarskich i dzielący prawe skrzydło od centrum. Na lewem skrzydle stanęły trzy bataliony, zająwszy las, w którym zrobiono zasieki i dwa pułki kawaleryi w rezerwie na wyżynie pokrytej kozakami. W ogólnej rezerwie, z tyłu w dolinie Wilii stał ks. Chiłkow z 4 batalionami piechoty, 14 szwadronami kawaleryi i 12 działami. W awangardzie wysłanej na rzekę Wakkę było $2^1/_2$ batalionów piechoty, 9 szwadronów kawaleryi, 100 kozaków i 4 działa.

(Dok. nast.)

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY
PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ XVI.

W którym kapitan Servadac i Ben-Zuf wyjeżdżają i wracają, jak wyjechali.

Była to prawda. Od czasu rozpoczęcia szlachetnego handlarstwa nadbrzeżnego, Izaak Hakhabut sprzedawał na fałszywą wagę. Ponieważ znamy tę osobistość, nikogo to więc nie zadziwi. Ale w dniu, w którym ze sprzedającego stał się kupującym, nieuczciwość jego obróciła się przeciw niemu. Głównem narzędziem jego fortuny był ten bezmian, fałszywy o ćwierć funta, jak to poznano, co pozwoliło profesorowi rozpocząć na nowo swoje obliczenia, opierając je teraz na prawdziwych podstawach.

Kiedy na ziemi bezmian wskazywał kilogramową wagę jakiegoś przedmiotu, to przedmiot ten ważył tylko w istocie 750 gramów. Otóż z ciężaru oznaczonego dla Gallii, potrzeba było czwartą część odtrącić. Łatwo zrozumieć, że wyliczenia profesora, opierające się na masie komety, zwiększonej o jednę czwartą, nie mogły się zgadzać z prawdziwemi pozycyami Neriny, ponieważ na te pozycye właśnie masa Gallii wpływała.

Palmiryn Rosette, zadowolony, że dobrze wytargał Izaaka, zabrał się natychmiast do roboty, ażeby skończyć z Neriną.

Łatwo sobie wyobrazić, jak żartowano po tej scenie z Izaaka Hakhabuta. Ben-Zuf nie przestawał mu powtarzać, że będzie ścigany za fałszywe wagi, że sprawa jego w sądzie i że będzie stawiony przed policyą poprawczą.

— Ale gdzie i kiedy? — zapytywał Izaak.

— Na ziemi, za powrotem, stary łotrze! — odpowiadał uprzejmie Ben-Zuf.

Poczciwiec Izaak musiał schronić się do swej ciemnej nory i pokazywał się jak można najrzadziej.

Dwa jeszcze miesiące i pół oddzielały Gallijczyków od dnia, w którym mieli spotkać się z ziemią. Dnia 7. października kometa wszedł w strefę planet teleskopijnych, to jest tam, gdzie był sobie pochwycił Nerinę.

Pierwszego listopada połowa strefy, w której krążą te asteroidy, zawdzięczające swoje pochodzenie prawdopodobnie rozpryśnięciu się jakiegoś planety, który krążył między Marsem a Jowiszem, była już szczęśliwie przebytą. W ciągu tego miesiąca Gallia miała przebiedz na swojej orbicie łuk wynoszący czterdzieści milionów mil, zbliżając się do słońca na odległość 78 milionów mil.

Temperatura znów stawała się znośną, termometr wskazywał dziesięć do dwunastu stopni poniżej zera. Jednakże nie było jeszcze żadnego objawu odwilży. Powierzchnia morza była niezmiernie gładką i zamarzniętą, a dwa statki, usadowione na swoich lodowych podstawach, chyliły się ku przepaści.

Wówczas to znowu poruszono kwestyę Anglików zamkniętych na wysepce Gibraltaru. Nie wątpiono, że bezkarnie przetrwali oni nadzwyczajne mrozy zimy gallickiej.

Kapitan Servadac traktował tę kwestyę z punktu widzenia, który jak najlepiej świadczył o jego wspaniałomyślności. Powiedział on, że pomimo złego przyjęcia, jakiego niegdyś doznała od nich *Dobryna*, potrzeba było koniecznie porozumieć się z nimi, aby ich powiadomić o wszystkiem, czego z pewnością nie wiedzieli. Powrót na ziemię, który w każdym razie musi być rezultatem nowego starcia, grozi największemi niebezpieczeństwy. Potrzeba zatem uprzedzić Anglików i wezwać ich do wspólnego stawienia czoła niebezpieczeństwom.

Hrabia i porucznik Prokop zupełnie podzielali zdanie kapitana Servadac. Ludzkość tego wymagała, nie mogli być obojętni na los swoich bliźnich.

Ale jak dostać się do wysepki Gibraltaru?

Rzecz widoczna, że tylko morzem, to jest korzystając z twardej podstawy, jaką przedstawiała jeszcze powierzchnia zamarzniętego morza.

Zresztą był to jedyny sposób podróżowania

z jednej wyspy do drugiej, gdyż za nastaniem odwilży żaden inny sposób nie był możliwy. W istocie nie można już było liczyć ani na dwumasztowca, ani na drugi statek. Co się tyczy szalupy parowej, to użyć jej w tym celu znaczyło tyle, co pozbawić się kilku beczek węgla, które starannie odłożone zostały na bok, jako zapas w razie powrotu na wyspę Gurbi.

Były jeszcze owe, na prędce sklecone, sanie z żaglem. Wiadomo, jak szybko i bezpiecznie odbyto na nich podróż z Ziemi Gorącej do Formentery.

Ale do popychania ich potrzeba było wiatru, którego nie było teraz na powierzchni Gallii. Być może, iż z odwilżą, gdy pod wpływem letniej temperatury zaczną się wywiązywać wyziewy, w atmosferze gallickiej ruch powstanie. Należało się nawet tego obawiać. Ale tymczasem spokój był zupełny i saniami nie można się było udać na wysepkę Gibraltaru.

Pozostawała więc jeszcze możliwość odbycia drogi pieszo, albo raczej na łyżwach. Odległość była znaczna — około stu mil. Czy można się było kusić o jej przebycie w takich warunkach?

Kapitan Servadac ofiarował się na spełnienie tego zadania. Dwadzieścia pięć do trzydziestu mil dziennie, to jest dwie mile (lieues) na godzinę, nie było to rzeczą zbyt trudną dla człowieka tak wprawnego w sztuce łyżwiarskiej. W ośmiu dniach zatem mógł być w Gibraltarze i powrócić do Ziemi Gorącej. Bussola do kierowania się, pewna ilość mięsa na zimno, mała spirytusowa maszynka do kawy, oto wszystko, co miał wziąć w drogę, i ta wycieczka, nieco zuchwała, wybornie przypadała do jego umysłu, lubiącego niebezpieczeństwa.

Hrabia i porucznik Prokop chcieli koniecznie, albo jechać zamiast niego, albo mu towarzyszyć. Ale kapitan Servadac podziękował im za to. W razie jakiego nieszczęścia, potrzeba było, aby hrabia i porucznik zostali w Ziemi Gorącej. Cóżby się stało bez nich w chwili powrotu z ich towarzyszami?

Hrabia musiał ustąpic. Kapitan Servadac chciał mieć jednego tylko towarzysza, swego wiernego Ben-Zufa. Zapytał go więc, jak mu się ten projekt podoba.

— Czy to mi się podoba, do stu par beczek! — zawołał Ben-Zuf. — Czy to mi się podoba, mój kapitanie? Podobna sposobność do rosprostowania nóg! A przytem, czy sądzisz, żebym pana puścił samego?

Odjazd naznaczono na dzień następny, 2go listopada. Bezwątpienia Servadac chciał dopomódz Anglikom i potrzeba spełnienia obowiązku ludzkości była pierwszą w nim pobudką do tego kroku. Ale może i inna myśl kiełkowała w mózgu Gaskończyka. Z nikim się nią jeszcze nie podzielił i niewątpliwie nie chciał nic o niej mówić hrabiemu.

Jakkolwiekbądź, Ben-Zuf przecież zrozumiał, że jest tu „jakaś inna mechanika,“ kiedy w wilię odjazdu kapitan powiedział do niego:

— Ben-Zuf, nie znalazłbyś czego w naszym magazynie do zrobienia trójkolorowej chorągwi?

— Znajdę, kapitanie — odpowiedział Ben-Zuf.

— Więc zrób tę chorągiew, tylko tak, żeby nie widziano, schowaj do torby i zabierz z sobą.

Ben-Zuf nie pytał o więcej i zrobił, co mu kazano.

Jakiż więc był projekt kapitana Servadac i dla czego nie objawił go towarzyszom?

Zanim damy odpowiedź, potrzeba zanotować pewien objaw psychologiczny, który nie należąc do kategoryi fenomenów niebieskich, nie był przeto mniej naturalnym — bo polegał na ludzkich słabościach.

Być może, że od czasu jak Gallia zbliżała się do ziemi, hrabia i kapitan Servadac powoli odsuwali się od siebie. Być może, iż to działo się mimo ich wiedzy. Wspomnienie dawnego współzawodnictwa zupełnie pogrzebane w przeciągu dwudziestu dwóch miesięcy wspólnego życia, powoli wracało do ich umysłu, a z umysłu do serca. Wróciwszy na glob ziemski, ci towarzysze przygód nie staną\ż się znów rywalami? Jakkolwiek byli Gallijczykami, nie przestali być przecież ludźmi. Pani S.... może jeszcze była wolną, a nawet byłoby obrazą wątpić o tem!...

W rezultacie z tego wszystkiego, mimowoli czy nie mimowoli, wynikł pewien chłód między hrabią a kapitanem. Można było zresztą zauważyć, że nigdy nie było między nimi ścisłej, prawdziwej przyjaźni, a tylko taka, która wynikała z okoliczności, w jakich się znajdowali.

To powiedziawszy, możemy objawić projekt kapitana Servadac, projekt, któryby może nowe współzawodnictwo wzbudził pomiędzy nim a hrabią. Oto dla czego chciał go trzymać w tajemnicy.

Projekt ten — trzeba przyznać — godnym był fantazującego mózgu, w którym się urodził.

Wiadomo, że Anglicy, przykuci do swej skały, zajmowali ciągle wysepkę Gibraltaru w imieniu Anglii. Mieli słuszność, jeżeli ten posterunek miał wrócić na ziemię w dobrych warunkach. Przynajmniej nie można im było zaprzeczać prawa do okupacyi.

Otóż naprzeciw Gibraltaru sterczała wysepka Ceuta. Przed uderzeniem Ceuta należała do Hiszpanów i panowała nad jedną stroną cieśniny. Ale Ceuta opuszczona mogła być zajętą przez pierwszego lepszego. Udać się na skałę Ceuty, zająć ją w imieniu Francyi, wywiesić chorągiew francuską — oto co Servadac miał sobie za obowiązek uczynić.

— Kto wie — mówił do siebie — czy Ceuta nie przybędzie szczęśliwie na ziemię, i czy nie będzie panowała nad jakiem ważnem morzem Śródziemnem? Otóż, chorągiew francuska wywieszona na tej skale, usprawiedliwi roszczenia Francyi.

I oto dla czego kapitan Servadac i jego ordynans pojechali na wyprawę zdobywczą, nic o niej nie mówiąc.

Łatwo każdy się zgodzi, że Ben-Zuf był jakby stworzony do tego projektu. Zdobyć kawałek skały dla Francyi! Spłatać figla Anglikom! To właśnie rzecz jego była.

Dopiero po odjeździe, u stóp skał nadbrzeżnych, kiedy po skończonych pożegnaniach dwaj zdobywcy znaleźli się sami, dowiedział się Ben-Zuf o projektach swego kapitana.

Zdawało się, że dawne piosnki, śpiewane w pułku, odżyły w jego pamięci, bo głosem pysznym zaczął śpiewać:

Le soleil en se levant
Nous fich' des rayons obliques!
Vlan! du bataillon d' Afrique,
Vlan! les Zephyrs en avant!

Kapitan Servadac i Ben-Zuf, ciepło odziani, ordynans z torbą na plecach, zawierającą w sobie szczupłe bagaże, obaj z łyżwami u stóp, puścili się na nieskończoną powierzchnię białą i utracili wkrótce z oczu wyżyny Ziemi Gorącej.

W podróży nie było żadnego wypadku. Czas przejazdu podzielono na kilka przestanków, podczas których wędrowcy odpoczywali wspólnie i posilali się.

Temperatura znów stawała się znośną, nawet podczas nocy i w trzy dni po swoim wyjeździe dwaj nasi bohaterowie stanęli na kilka kilometrów przed wysepką Ceuty.

Ben-Zuf pałał chęcią zdobyczy wojennych. Gdyby potrzeba było szturm przypuścić, dzielny żołnierz gotów był uformować się w kolumnę, a „nawet w kwadrat“ dla odparcia nieprzyjacielskiej kawaleryi.

Był to ranek. Za pomocą bussoli od wyjazdu ściśle odmierzano kierunek prostej linii i trzymano się tego kierunku. Skała Ceuty ukazywała się w odległości pięciu do sześciu kilometrów, w oświetleniu słonecznem na zachodnim horyzoncie.

Nasi dwaj poszukiwacze przygód spieszyli się, aby co prędzej stanąć na tej skale.

Nagle, w odległości może trzech kilometrów, Ben-Zuf, który miał wzrok bardzo bystry, zatrzymał się i powiedział:

— Mój kapitanie, patrz!

— Cóż takiego, Ben-Zuf?

— Coś się tam rusza na skale.

— Naprzód — odpowiedział kapitan Servadac.

Dwa kilometry przebyto w kilka minut. Kapitan, Servadac i Ben-Zuf, miarkując swoją szybkość, znów się zatrzymali.

— Kapitanie!

— Cóż, Ben-Zuf?

— Jest tam z pewnością jakiś pan na Ceucie, który nam daje znaki. Wygląda, jak człowiek, który się wyciąga po zbyt długiem spaniu.

— Mordieux — zawołał kapitan Servadac — czyżbyśmy przybywali zapóźno?

Obaj ruszyli znów naprzód i wkrótce Ben-Zuf zawołał:

— Ach, kapitanie, to telegraf!

W istocie na skale Ceuty funkcyonował telegraf w rodzaju semaforu (telegraf nadbrzeżny do dawania sygnałów.)

— Mordieux — zawołał kapitan — ale jeżeli tam jest telegraf, to musiał go ktoś tam urządzić!

— Chybaby — powiedział Ben-Zuf — telegrafy na Gallii rosły jak drzewa.

— A jeżeli gestykuluje, to widocznie ktoś go w ruch wprawia.

— Pardieu!

Hektor Servadac, bardzo niezadowolony, spojrzał ku północy.

Tam, na kraju widnokręgu wznosiła się skała Gibraltaru, i zdawało się tak kapitanowi, jak Ben-Zufowi, że drugi telegraf umieszczony na szczycie wysepki odpowiadał na zapytania pierwszego.

— Zajęli Ceutę — zawołał kapitan Servadac — i o naszem przybyciu dają już znać do Gibraltaru.

— A więc, mój kapitanie?...

— A więc, Ben-Zuf, trzeba schować do pochwy nasz projekt zdobywczy i być dobrej myśli mimo niepowodzenia!

— Jednakże, mój kapitanie, jeżeli tam tylko pięciu lub sześciu Anglików broni Ceuty?...

— Nie, Ben-Zufie — odpowiedział Servadac — uprzedzili nas, i jeżeli moje argumenta nie skłonią ich do odstąpienia nam tej pozycyi, to nie ma tu dla nas nic do roboty.

Z zawodem na sercu Hektor Servadac i Ben-Zuf przybyli do samego podnóża skały. W tej

samej chwili, jakby za pociśnięciem sprężyny, wyskoczyła z nich placówka.

— Kto idzie?

— Przyjaciele. Francya!

— Anglia!

To były pierwsze wyrazy, które wymieniono. Wówczas na wyższej części wysepki ukazało się czterech ludzi.

— Czego chcecie? — zapytał jeden z tych ludzi, należących do załogi gibraltarskiej.

— Chcę pomówić z waszym naczelnikiem — odpowiedział kapitan Servadac.

— Z komendantem Ceuty?

— Z komendantem Ceuty, kiedy Ceuta ma już komendanta.

— Natychmiast go uprzedzę — odpowiedział żołnierz angielski.

W kilka minut potem komendant Ceuty, w mundurze, zeszedł na najniższe szczeble skalistej wysepki.

Był to major Oliphant we własnej osobie.

Nie było już wątpliwości. Tę samę myśl, którą miał kapitan Servadac, powzięli i Anglicy, tylko ją wcześniej wykonali. Zająwszy skałę, wydrążyli w niej porządne kazamaty dla posterunku. Żywność i paliwo przewieziono na łódce komendanta Gibraltaru, zanim się morze ścięło.

Gęsty dym wydobywający się ze skały, świadczył, że musieli mieć dobry ogień podczas zimy gallickiej i że zatem załodze zimno niezbyt musiało dolegać. I w istocie ci żołnierze angielscy mieli dobrą tuszę, a major Oliphant z lekka potłuściał, choćby się może sam do tego nie przyznał.

Zresztą ci Anglicy w Ceucie nie byli zupełnie odosobnieni, gdyż cztery zaledwie mile (francuskie) oddzielały ich od Gibraltaru. Mieli ciągłą komunikacyę, czy to przejeżdżając na drugą stronę cieśniny, czy też zapomocą telegrafu.

Potrzeba dodać, że brygadyer Murphy i major Oliphant nie przerwali nawet swojej partyi szachów. Długo obmyśliwane pojechania komunikowali sobie telegrafem.

W tym względzie szanowni oficerowie naśladowali dwa towarzystwa amerykańskie, które w r. 1846 z Waszyngtonu i Baltimore grały „telegraficznie“ słynną partyę szachów.

Daremnieby dodawać, że partya, którą grali brygadyer Murphy i major Oliphaut, była jeszcze tą partyą, rozpoczętą podczas bytności Servadaca w Gibraltarze.

Tymczasem major oczekiwał spokojnie, czego od niego żądać będą dwaj cudzoziemcy.

— Major Oliphant, jeśli się nie mylę — powiedział kapitan Servadac, kłaniając się.

— Major Oliphant, gubernator Ceuty — odpowiedział oficer, a potem dodał: — z kimże mam honor mówić?

— Z kapitanem Servadac, generalnym gubernatorem Ziemi Gorącej.

— Ach, bardzo dobrze! — odpowiedział major.

— Panie — rozpoczął znów Hektor Servadac — czy pozwolisz mi pan być z lekka zadziwionym, widząc cię w charakterze komendanta na tej resztce dawnej posiadłości hiszpańskiej?

— Pozwalam panu, kapitanie.

— Możeż zapytać pana jakiem prawem?

— Prawem pierwszego, który zajmie.

— Bardzo dobrze, majorze Oliphant. Ale czy sądzisz pan, że Hiszpanie, zamieszkali w Ziemi Gorącej, nie mogliby z pewną słusznością reklamować?

— Nie sądzę, kapitanie Servadac.

— A dla czego, jeżeli łaska?

— Ponieważ to ci sami Hiszpanie ustąpili skałę Ceuty na zupełną własność Anglii.

— Kontraktem? majorze Oliphant.

— Najformalniejszym kontraktem.

— Ach, doprawdy?

— I otrzymali, kapitanie Servadac, w angielskiem złocie zapłatę za to ważne ustępstwo.

— Teraz wiem dla czego — zawołał Ben-Zuf — Negrete i jego towarzysze mieli tyle pieniędzy w kieszeni.

W istocie rzecz się tak miała, jak mówił major Oliphant. Czytelnik sobie przypomina, że dwaj oficerowie angielscy odbyli tajemną wycieczkę do Ceuty, kiedy tam jeszcze byli Hiszpanie. Ztąd to pochodziło to łatwe nabycie wysepki dla Anglii.

Tak więc argument, na który kapitan Servadac trochę liczył, sam przez się upadał. Tak więc zupełna przegrana zdobywcy i jego szefa sztabu. Nie nalegał więc dalej, i strzegł się wydać z zamiarami, które go tu przygnały.

— Czy mogę wiedzieć — zaczął naówczas major Oliphant — czemu mam przypisać zaszczyt pańskich odwidzin?

— Majorze Oliphant — odpowiedział kapitan Servadac — przybyłem tu, aby wyświadczyć usługę pańskim towarzyszom i panu.

— Ach — powiedział major tonem człowieka, który nie sądzi, aby potrzebował czyjejkolwiek usługi.

— Majorze Oliphant, być może, iż nie jesteś powiadomiony o tem, co się stało, iż nie wiesz, że skały Ceuty i Gibraltaru obiegają świat słoneczny na komecie?

— Na komecie? — powtórzył major Oliphant z uśmiechem doskonałego niedowierzania.

W kilku słowach kapitan Servadac objaśnił majora o rezultatach spotkania się ziemi z Gallią — co w oficerze angielskim nie wywołało nawet zmarszczenia brwi. — Później dodał, że wszystko nakazuje spodziewać się powrotu na ziemię, i że wypadałoby może, aby mieszkańcy Gallii połączyli siły swoje dla wspólnego zapobieżenia niebezpieczeństwom, wyniknąć mogącym przy nowem starciu.

— A zatem — majorze Oliphant — jeżeli pańska mała załoga i gibraltarska zechcą wyemigrować do Ziemi Gorącej...

— Nie umiem panu dostatecznie podziękować, kapitanie Servadac — odpowiedział chłodno major Oliphant — ale my nie możemy opuścić naszego posterunku.

— A to dla czego?

— Nie mamy rozkazu od naszego rządu, a raport przeznaczony dla admirała Fairfaxa czeka jeszcze ciągle na statek pocztowy.

— Ale powtarzam panu, że nie jesteśmy już na globie ziemskim, i że za dwa miesiące kometa spotka się znów z ziemią!

— To mię nie zadziwia, kapitanie, gdyż Anglia musiała robić wszystko, aby go przyciągnąć do siebie.

— Wolna wola — odparł Servadac. — Więc uporczywie chcecie pozostać na skałach Ceuty i Gibraltaru?

— Oczywiście, majorze Oliphant, ponieważ one panują nad wejściem do morza Śródziemnego.

— Ach, może nie będzie wcale morza Śródziemnego.

— Morze Śródziemne będzie zawsze, jeśli Anglia tego zechce! — Ale wybacz mi, kapitanie Servadac. Brygadyer Murphy przesyła mi telegrafem straszliwy cios szachowy. Pozwolisz pan...

Kapitan Servadac, srodze targając wąsa, oddał majorowi Oliphant ukłon za ukłon. Żołnierze angielscy napowrót weszli do swoich kazamat, i dwaj zdobywcy znaleźli się sami u stóp skały.

— No i cóż, Ben-Zuf?

— A cóż, mój kapitanie! Za pozwoleniem pańskiem odbyliśmy dyabelnie kiepską kampanię!

— Chodźmy ztąd Ben-Zuf.

— Chodźmy ztąd, kapitanie — odpowiedział Ben-Zuf, który nie myślał już wcale śpiewać piosnki Zefirów afrykańskich.

I jak przyjechali, tak odjechali, nie mając sposobności do rozwinięcia swej chorągwi.

Żadnym wypadkiem nie odznaczył się ich powrót i 9 listopada stanęli na wybrzeżu Ziemi Gorącej.

Potrzeba dodać, że przybywając trafili na straszliwy gniew Palmiryna Rosette. I szczerze mówiąc, miał czego się gniewać!

Czytelnik przypomina sobie, że profesor na nowo rozpoczął seryę obserwacyi i obliczeń, dotyczących Neriny. Otóż, tylko co ukończył to wszystko i miał już w ręku wszystkie elementa swego satelity...

Ale Nerina, która miała ukazać się w wilię dnia tego, nie pojawiła się wcale na horyzoncie Gallii. Pociągnięta zapewne przez jakiegoś potężniejszego asteroidę, umknęła w przejeździe przez strefę planet teleskopijnych.

ROZDZIAŁ XVII.

Traktujący o wielkiej kwestyi powrotu na ziemię i o śmiałym projekcie porucznika Prokopa.

Po powrocie Hektor Servadac uwiadomił hrabiego Timaszewa o rezultacie swoich odwiedzin u Anglików. Nie zataił przed nim, że Ceuta została sprzedaną przez Hiszpanów, którzy zresztą żadnego nie mieli prawa jej sprzedawać, i zamilczał tylko o swoich osobistych zamiarach.

Postanowiono zatem obyć się bez Anglików, skoro nie chcą przybyć do Ziemi Gorącej. Uprzedzono ich o niebezpieczeństwie. Do nich teraz należało wywikłać się z niego podług swego rozumienia.

Pozostawała teraz do rozważenia ważna kwestya nowego spotkania się komety z ziemskim sferoidą.

W zasadzie potrzeba było za prawdziwy cud uważać, że kapitan Servadac, jego towarzysze, zwierzęta, jednem słowem wszystkie żyjące istoty przy pierwszem starciu zostały przy życiu. Pochodziło to bezwątpienia ztąd, że ruch zwolna był miarkowany nieznanemi okolicznościami. Czy na ziemi zostały jakie ofiary? o tem miano się później dowiedzieć. W każdym razie rzecz była pewna, że nikt z tych, którzy byli porwani, tak na wyspie Gurbi, jak w Gibraltarze, na Ceucie, Magdalenie i Formenterze, nie ucierpiał osobiście od starcia.

Miałoż być tak i przy powrocie? Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie można było na to liczyć.

Był to dzień 10 listopada, kiedy zaczęto traktować o tej ważnej kwestyi; hrabia, kapitan Servadac, porucznik Prokop zeszli się w tej pieczarze, która im służyła za wspólną salę. Ben-Zuf był naturalnie dopuszczony do posiedzenia. Co się tyczy Palmiryna Rosette regularnie wzywanego, ten stanowczo oświadczył, że nie przyj-

dzie, gdyż sprawa ta pod żadnym względem go nie obchodzi. Od czasu zniknięcia swej kochanej Neriny nie mógł się on pocieszyć. Zagrożony teraz utratą swego komety, jak już utracił jego satelitę, chciał astronom, aby go zostawiono w spokoju. Co też uczyniono.

Kapitan Servadac i hrabia, coraz chłodniejsi dla siebie, nic nie zdradzili ze swoich ukrytych myśli i rozprawiali o kwestyi w interesie powszechnym.

Kapitan Servadac pierwszy zaczął mówić i to temi słowy:

— Panowie — powiedział — oto mamy dziś 10 listopada. Jeżeli obliczenia mojego ex profesora są dokładne — a powinny być takiemi — to za pięćdziesiąt i jeden dni nastąpi nowe spotkanie ziemi z kometą. Czy w przewidywaniu tego wypadku należy nam przedsięwziąć jakie środki ostrożności?

— Rzecz widoczna, kapitanie, że należy — odpowiedział hrabia—ale czy możemy cokolwiek przedsięwziąć, czy nie jesteśmy zupełnie zdani na łaskę Opatrzności.

— Opatrzność nie zabrania myśleć o sobie, panie hrabio — odparł kapitan Servadac. Przeciwnie.

— Czy masz pan jaki gotowy pomysł w tym względzie, kapitanie Servadac?

— Żadnego, co prawda.

— Jakto, — powiedział wówczas Ben-Zuf— tacy uczeni, jak panowie, za pozwoleniem ich łaskawości, nie są zdolni pokierować tą dyabelską kometą, gdzie chcą i jak chcą.

— Naprzód nie jesteśmy uczeni, Ben-Zufie— odpowiedział kapitan Servadac — a gdybyśmy nawet byli, tobyśmy także nic nie mogli zrobić. Patrz, czy Palmiryn Rosette, no ten jest uczony...

— Ale z brzydką gębą — powiedział Ben-Zuf.

— Być może, ale uczony, a przecież nie może przeszkodzić Gallii by powróciła na ziemię.

— Ale w takim razie do czego nauka?

— Najczęściej, ażeby się dowiadywać, że się jeszcze wszystkiego nie umie — odpowiedział hrabia.

— Panowie — rzekł porucznik Prokop — jest rzeczą pewną, że w nowem starciu rozmaite nieszczęścia nam zagrażają. Jeżeli pozwolicie, to je wyliczę, a zobaczymy, czy podobna je zwalczyć, a przynajmniej złagodzić ich następstwa.

— Mów Prokopie — odpowiedział hrabia.— Wszyscy tak spokojnie rozmawiali o tych rzeczach, jak gdyby one ich wcale nie dotyczyły.

— Panowie — rozpoczął porucznik Prokop— potrzeba się naprzód zapytać, jakim sposobem może się odbyć to nowe spotkanie komety z globem ziemskim. Zobaczymy następnie, czego się należy lękać lub spodziewać w każdym z możliwych wypadków.

— Nic logiczniejszego — odpowiedział kapitan Servadac — ale nie zapominajmy, że dwa te ciała niebieskie dążą jedno ku drugiemu, i że w chwili starcia szybkość ich wynosić będzie dziewięćdziesiąt tysięcy mil francuskich na godzinę.

— Dwa ładne pociągi — pozwolił sobie dorzucić Ben-Zuf.

— Zobaczmy więc, jak się może odbyć starcie — ciągnął dalej porucznik Prokop. — Dwie te gwiażdy mogą się spotkać albo ukośnie, albo prostopadle. W pierwszym wypadku może się zdarzyć, że Gallia tylko muśnie ziemię, jak za pierwszym razem, i oderwawszy od niej kilka kawałków, dalej krążyć będzie w przestrzeni. Ale zruszonąby była ze swojej orbity i mało mielibyśmy szans, gdybyśmy to przeżyli, ujrzeć kiedykolwiek naszych bliźnich.

— Zaspokoiłoby to życzenia Palmiryna Rosette, ale nie nasze, zrobił uwagę rozsądny Ben-Zuf.

— Zostawmy więc na stronie tę hypotezę— odpowiedział hrabia.—Znamy już dostatecznie jej korzystne i niekorzystne strony, przystąpmy zatem do uderzenia bezpośredniego, to jest do wypadku, w którym Gallia uderzywszy się o ziemię, zostałaby na niej.

— Jak brodawka na twarzy — powiedział Ben-Zuf.

— Cicho, Ben-Zuf — rzekł do niego Hektor Servadac.

— Dobrze, mój kapitanie.

— Zobaczmy więc — mówił dalej porucznik Prokop — jakie hypotezy przedstawia starcie bezpośrednie. Przedewszystkiem należy przypuścić, że ponieważ massa ziemi jest o wiele większą od massy Gallii, nie będzie więc powstrzymaną w biegu i uniesie z sobą kometę.

— To się przypuszcza — odpowiedział kapitan Servadac.

— Otóż, panowie, w hypotezie prostopadłego uderzenia, Gallia przylgnie do ziemi albo tą częścią swej powierzchni, którą my zajmujemy na równiku, albo częścią zajmowaną przez naszych antypodów, albo nareszcie jednym z dwóch swoich biegunów. We wszystkich tych wypadkach wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, że żadna z istot żyjących na Gallii nie przeżyje tego starcia.

— Wytłómacz się, poruczniku — powiedział kapitan Servadac.

— Jeżeli będziemy w chwili starcia na części równika ścierającej się, zostaniemy rozmiażdżeni.

— To się rozumie — powiedział Ben-Zuf.

— Jeżeli będziemy w antypodach uderzającej części, to oprócz pewności zdruzgotania, ponieważ szybkość, która nas ożywia, nagle zostanie powstrzymaną — co się równa uderzeniu — mamy jeszcze pewność uduszenia się. W istocie, atmosfera gallicka zmięsza się z atmosferą ziemską, a my znalazłszy się na szczycie gory, na sto mil wysokiej, którą utworzy Gallia na ziemi, nie będziemy mieli dostatecznego do oddychania powietrza.

— A jeżeli Gallia uderzy o ziemię jednym ze swoich dwóch biegunów? — zapytał hrabia.

— W takim razie — odpowiedział porucznik Prokop — będziemy nieuniknienie podrzuceni a potem podruzgotani w straszliwem spadnięciu.

— Bardzo dobrze — powiedział Ben-Zuf.

— Dodaję, że w razie niemożliwym, gdyby żadna z tych hypotez nie miała miejsca, zostaniemy niechybnie spaleni.

— Spaleni? — powiedział Hektor Servadac.

— Tak, gdyż kiedy szybkość Gallii, zniweczona przeszkodą, zamieni się w ciepło, kometa cały lub w części spali się pod wpływem temperatury, która podniesie się do kilku tysięcy stopni.

Wszystko, co mówił porucznik Prokop, było ściśle dokładnem. Słuchacze patrzali nań i słuchali wywodu jego hypotez bez szczególnego podziwienia.

— Ale, panie Prokopie — powiedział Ben-Zuf, — jeżeli Gallia wpadnie do morza?...

— Jakkolwiek głębokim jest Atlantyk i Ocean spokojny — odpowiedział porucznik Prokop — a głębokość ich nie przenosi kilku mil— poduszka ta wodna będzie zawsze niedostateczną do osłabienia ciosu. Wszystkie zatem następstwa, które tylko co wskazałem, miałyby miejsce...

— Z dodatkiem jeszcze utopienia się... — dorzucił Ben-Zuf.

— Tak więc, panowie — powiedział kapitan Servadac — być połamanymi, utopionymi, podruzgotanymi, uduszonymi lub upieczonymi — oto los, który nas czeka, w jakikolwiek sposób odbędzie się spotkanie.

— Tak, kapitanie Servadac — odpowiedział bez wahania porucznik Prokop.

— A więc — rzekł Ben-Zuf — jeżeli tak jest, to zostaje nam tylko jedna rzecz do zrobienia!

— A to jaka? — zapytał Hektor Servadac.

— Opuścić Galię przed uderzeniem.

— Jakim sposobem?

— O! sposób jest bardzo prosty — odpowiedział spokojnie Ben-Zuf. — Nie ma go.

— Kto wie? — powiedział porucznik Prokop.

Wszystkich oczy zwróciły się na porucznika, który objąwszy głowę rękami rozmyślał nad jakimś śmiałym projektem.

— Kto wie — powtórzył — a jakkolwiek zuchwałym wydać się mój plan może, sądzę, iż należy go spróbować.

— Mój Prokopie — powiedział hrabia.

Porucznik przez kilka chwil jeszcze pozostał pogrążony w rozmyślaniach — potem rzekł:

— Ben-Zuf wskazał nam jedyną drogę, jakiej się chwycić mamy: opuścić Gallię przed uderzeniem.

— Czyż to podobna? — zapytał hrabia.

— Tak... być może.., tak!

— I w jakiż sposób.

— Za pomocą balonu!...

— Balon! — zawołał kapitan Servadac. — Ależ to zużyty środek ten pański balon! Nawet w romansach już nie śmią się nim posługiwać!

— Zechciejcie mię posłuchać, panowie, — ciągnął dalej porucznik Prokop, z lekka brwi marszcząc. — Jeżeli tylko będziemy znali dokładnie chwilę, w której nastąpi starcie, to na godzinę przedtem możemy wznieść się w atmosferę Gallii. Ta atmosfera uniesie nas ze swą nabytą szybkością; ale przed spotkaniem może się zmięszać z atmosferą ziemską, i jest rzeczą możliwą, że balon niejako prześliźnie się z jednej atmosfery do drugiej, unikając prostopadłego uderzenia, i że się utrzyma w powietrzu, podczas gdy się starcie odbywać będzie.

— Dobrze, Prokopie — odrzekł hrabia — rozumiemy cię, i to co powiedziałeś, zrobimy.

— Na sto szans — ciągnął porucznik Prokop — mamy dziewięćdziesiąt przeciw sobie.

— Dziewięćdziesiąt!

— Przynajmniej to jest rzeczą pewną, że w chwili, gdy ruch jego obrotowy powstrzymany zostanie, balon spali się.

I on także? — zawołał Ben-Zuf.

— I on tak samo, jak kometa — odpowiedział Prokop... — chyba że w tem zmięszaniu się dwóch atmosfer... Nie wiem dobrze... trudnoby mi było powiedzieć... ale, zdaje mi się, że lepiej będzie w chwili uderzenia opuścić grunt Gallii.

— Tak! tak! — powiedział kapitan Servadac. Choćby była tylko jedna szansa dobra na sto tysięcy złych, to my jej spróbujemy!

— Ale nie mamy czem napełnić balonu, nie mamy wodoru... — rzekł hrabia.

— Wystarczy dla nas powietrze gorące — odpowiedział Prokop — gdyż nie potrzebujemy dłużej nad godzinę utrzymywać się w powietrzu.

— Dobrze — rzekł kapitan Servadac... — mongolfierka... to prostsze i łatwiejsze do zrobienia... Ale pokrywa?...

— Wykroimy ją z żagli *Dobryny*, które mają płótno lekkie i mocne...

— Dobrze mówisz, Prokopie — odpowiedział hrabia. — Ty, doprawdy, masz odpowiedź na wszystko.

— Hurra! brawo! — zawołał Ben-Zuf na zakończenie.

W istocie zuchwały był plan zaproponowany przez porucznika Prokopa. Ale ponieważ przy wszelkich innych hypotezach zguba Gallijczyków była nieuchronną, potrzeba więc było próbować w ten sposób szczęścia, i to nieodzownie. W tym celu potrzeba było znać dokładnie nie tylko godzinę, ale minutę, a nawet, jeśli podobna, sekundę, w której miało nastąpić starcie.

Kapitan Servadac podjął się zapytać oto Palmiryna Rosette, przedsiębiorąc wszelkie środki ostrożności. Od tego więc czasu poczęto pod kierownictwem porucznika budowę mongolfierki. Miała być tak wielkich rozmiarów, aby mogła zabrać wszystkich mieszkańców Ziemi Gorącej, w liczbie dwudziestu trzech, — gdyż co się tyczy Anglików z Gibraltaru i Ceuty, to po ich odmowie, nie było się co o nich troszczyć.

Oprócz tego porucznik Prokop postanowił zaopatrzyć się w środki, któreby mu dały możność unoszenia się dłuższy czas w powietrzu, po starciu, gdyby balon ocalał. Mogła się bowiem zdarzyć potrzeba poszukania odpowiedniego miejsca do spuszczenia się na ziemię, i chodziło o to, aby balon nie zrobił zawodu. Dla tego postanowiono zabrać z sobą pewną ilość palnego materyału, trawy lub słomy suchej, dla ogrzewania wewnętrznego powietrza mongolfierki. Tego sposobu niegdyś używali pierwsi aeronauci.

Żagle *Dobryny*, złożone w Ulu Niny, zrobione były z bardzo gęstej tkaniny, którą bardzo łatwo można było zrobić jeszcze bardziej nieprzenikalną za pomocą pokostu. Wszystkie potrzebne ingredyencye znajdowały się w ładunku *Hanzy*, a zatem porucznik mógł niemi rozporządzać. Wykroił on starannie model do wykrawywania pasów z płótna. Praca ta odbyła się szczęśliwie, i wszystkich użyto do zszywania tych pasów — wszystkich, nie wykluczając i małej Niny. Majtkowie, bardzo wyćwiczeni w tego rodzaju robotach, pokazywali Hiszpanom, jak ci mają robić, i nowy warsztat nie próżnował.

Powiedziało się wszystkich — ale z wyjątkiem żyda, którego nieobecności nikt nie żałował, i Palmiryna Rosette, który nawet nie chciał wiedzieć o tem, że budowano mongolfierkę.

W tych robotach upłynął cały miesiąc. Kapitan Servadac nie znalazł był jeszcze sposobności, aby zadać swemu ex-profesorowi pytanie, dotyczące nowego starcia komety z ziemią. Palmiryn Rosette był nieprzystępny. Nie widywano go całymi dniami. Ponieważ temperatura w dzień stała się już prawie znośną, znów się ulokował w swojem obserwatoryum i nikogo tam nie puszczał.

Pierwsze pytanie kapitana Servadac w tej mierze bardzo źle przyjął. Bardziej niż kiedykolwiek zrozpaczony z powodu powrotu na ziemię, nie chciał się zajmować niebezpieczeństwami spotkania się z ziemią, ani cokolwiek uczynić dla powszechnego ratunku.

A przecież była to rzecz najważniejsza — dowiedzieć się z najściślejszą dokładnością o chwili, w której dwa te ciała niebieskie połączą się z sobą z szybkością 27 mil na sekundę.

Kapitan Servadac musiał więc cierpliwie czekać, i czekał cierpliwie.

Tymczasem Gallia ciągle zbliżała się do słońca. Tarcza ziemska widocznie się powiększała w oczach Gallijczyków. Kometa przez miesiąc listopad przebyła 59 milionów mil i 1 grudnia była już tylko o 78 milionów mil odległą od słońca.

Temperatura znacznie się podniosła i wywołała pękanie lodów i odwilż. Wspaniały był widok wyzwalającego się z pęt zimowych morza. Dał się słyszeć „wielki głos lodów,“ jak mówią rybacy polujący na wieloryby. Na pochyłościach wulkanu i wybrzeża zaczęły się wić kapryśnie pierwsze strugi wody. W kilka dni zaimprowizowały się potoki i kaskady. Śniegi leżące na wyżynach wszędzie się topiły.

Jednocześnie na widnokręgu zaczęły się ukazywać wyziewy. Powoli uformowały się z nich obłoki i bystro się przenosiły gnane wiatrem, który zamilkł był na całą długą zimę gallicką. Można się było spodziewać bliskich zamętów w atmosferze, ale był to właśnie powrót życia za ciepłem i światłem na powierzchnią komety.

Wszelako stały się wówczas dwa przewidziane wypadki, które sprowadziły zniszczenie gallickiej marynarki.

W chwili pękania lodów dwumasztowiec i statek kupiecki były jeszcze wywieszone na sto stóp nad powierzchnią morza. Olbrzymi ich piedestał z lekka się pochylił i pochylał się wciąż bardziej w miarę tajania. Miało im wkrótce zabraknąć podstawy, opłukiwanej cieplejszemi wodami, podobnie jak to się dzieje z lodowemi górami na morzu północnem lodowatem. Niepodobna było ocalić statków; zastąpić je miała mongolfierka.

W nocy z 12 na 13 grudnia lody ostatecznie popękały. W skutek naruszenia równowagi masy lodowe powywracały się. Zginęły *Hanza* i *Dobryna*, rozbiwszy się o rafy nadbrzeżne.

Ta klęska, której oczekiwano, której nie można było zapobiedz, nie wywarła zbyt boleśnego wrażenia na kolonistów. Zabrakło im tylko czegoś, co z ziemi z sobą zabrali.

Ale niepodobna opowiedzieć narzekań Izaaka Hakhabuta na widok nagłego zniszczenia jego statku i przekleństw, które ciskał na złą rasę. Obwiniał on kapitana Servadac i jego towarzyszy. Gdyby go nie zmuszono sprowadzić *Hanzy* do przystani Ziemi Gorącej, gdyby ją zostawiono w porcie wyspy Gurbi, nie było by tej klęski! Działano w brew jego woli, i kto sprowadził *Hanzę*, był zatem odpowiedzialny za jej stratę; za powrotem na ziemię Izaak potrafi pociągnąć do odpowiedzialności tych, co mu taką krzywdę wyrządzili.

— Mordioux — krzyknął kapitan Servadac— zamilcz, mości Izaaku, bo inaczej każę cię okuć!

Izaak Hakhabut zamilkł i powrócił do swej nory.

14 grudnia ukończono mongolfierkę. Starannie uszyta i pokostowana, była znakomicie trwałą. Łódź utworzona z plecionej łoziny, z której porobione były przegródki na spodzie *Hanzy*, mogła pomieścić dwadzieścia trzy osoby. Chodziło zresztą tylko o krótkie utrzymanie się na wysokości — o czas, w którymby się można było wśliznąć z atmosfery Gallii w atmosferę ziemską. Na wygody nie można się było oglądać.

Pozostawało więc jeszcze zawsze pytanie dotyczące godziny, minuty i sekundy, pytanie na które nieprzystępny, uparty Palmiryn Rosette nie dał był jeszcze odpowiedzi.

W tym czasie Gallia przecinała orbitę Marsa, która była odległą od ziemi o 56 milionów mil. Nie było więc jeszcze obawy.

Jednakże tego dnia, 15 grudnia, Gallijczycy mogli myśleć, że już ich ostatnia godzina nadeszła. Dało się uczuć coś w rodzaju trzęsienia ziemi. Wulkan się wzburzył, jakby jakimś podziemnym ruchem wstrząśnięty. Kapitan Servadac i jego towarzysze sądzili, że kometa pękł i co żywiej opuścili zachwianą skałę.

W tym samym czasie zaleciał krzyk z obserwatoryum, i ujrzano nieszczęsnego profesora, wybiegającego ztamtąd z kawałkiem potrzaskanej lunety.

Ale nikt się nie litował nad nim. W tej ciemnej nocy jakiś nowy satelita zdawał się krążyć do koła Gallii.

Był to kawałek tegoż samego komety.

Pod wpływem wewnętrznego parcia kometa rozłamał się na dwoje, podobnie jak to niegdyś stało się z kometą Gambartem. Olbrzymi odłamek, ciśnięty w przestrzeń, unosił z sobą Anglików z Ceuty i Gibraltaru. (C. d. n.)

Socyaliści.

— Powiedz no mi, mój kochany,
Co to są ci socyaliści?
Bo mówią, że to gałgany,
Rabusie, kryminaliści..
— Ja tam dobrze nie wiem tego,
Krążą o nich różne baje;
Wszakże, ile mi się zdaje,
Nie ma tam nic tak strasznego.
— Dyabła nie ma! toż gadają,
Że oni nas wszystkich złupią;
Wszystkich, co tylko coś mają;
Przyznasz, że to trochę głupio.
— Tak, toby było za wiele;
Tylko jest jedno pytanie,
Czy podobne o nich zdanie
Nie głoszą nieprzyjaciele?
— Mnie bo wyraźnie gadano,
Że oni piszą programy,
By nam wszystko odważano,
Nawet co w usta wziąć mamy.
— E! e! chyba ci się śniło,
Ja bo tylko to słyszałem,
Że głównym ich ideałem,
Żeby próżniaków nie było.
— No, i ja jestem za pracą,
Kto uczciwy, tego życzy;
A więc, więc u licha za co
Świat na socyalistów krzyczy?
— Może ten, co ma miliony;
Bo ja jestem przekonany,
Że milion szybko ściułany,
Bywa najczęściej złupiony.
— Ha, jest w tem słuszności sporo;
Tylko ja się zawsze boję,
Że mi to, co mam, zabiorą;
U nich co twoje, to moje,
— Gdzież tam! mówią że im chodzi
O to, żeby każda płaca
Była taka, jaka praca,
By nie panoszył się złodziej.
— Toby było doskonale!
Naprzykład tacy bankierzy,
Ja ich nie pojmuję wcale;
Dziś nic — jutro w złocie leży?

— Tak jest, tak jest, na uczciwość,
A moc biednego narodu
Pracuje i ginie z głodu;
Gdzież tu jaka sprawiedliwość?
— Że nie ma, to nie ma; przecie
I sam Chrystus, nasz pan, właśnie,
Wołał równości na świecie.
Po cóż ludzie plotą baśnie?
— Najprędzej ci, mój kochany,
W czyich dłoniach bicz spoczywa;
Bo kto siły nadużywa,
Lęka się najmniejszej zmiany.
— Koniec końców, nie rozumiem;
Jak słyszę i to i owo,
Sprawy sobie zdać nie umiem
Ani sercem, ani głową.
— Ja bo rządzę się sumieniem;
Wszelka myśl, rozbioru godna;
Lecz zanim ją zgłębię do dna,
Nie ciskam na nią kamieniem.

M. Rodoć.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(*Ciąg dalszy.*

XXX.

Nazajutrz rano wyprawił Floryan sekundantów do Antoniego.

Nazajutrz w południe wyprawił także kapitan sekundantów do Floryana.

Floryan nie przyjął wyzwania.

— Ojciec tej, którą kocham, może mnie obrazić, jeżeli zechce, do czego mu jednak nie dałem powodu, — mógłby znieważyć nawet — ale ja bić się z nim nie będę. W obronie jego własnego honoru i honoru jego córki gotów jestem zawsze stanąć — nawet wbrew jego woli. Jeżeli go czem obraziłem niechcący, błagam o przebaczenie, a ktokolwiekby mi to poczytać śmiał za tchórzostwo, chciejcie mu panowie powiedzieć, że go nazywam nikczemnikiem, jeżeli mi tego z bronią w ręku nie powtórzy.

Antoni odmówił również przyjęcia pojedynku. Oświadczył, że wyzwanie Floryana uważa za napad szalony zakochanego desperata, do czego żadnego mu nie dał powodu.

— ..... Bo zważcie szanowni panowie sami: przecież to, że kapitan Kaperman woli mnie za zięcia niż jego — to nie jest obrazą wyrządzoną Floryanowi przezemnie... co?... Do kapitana może mieć prędzej pretensyę o to, ale nie do mnie. Wolno jemu się było starać, wolno i mnie... co?... A wyzwanie takie, to prosta pogróżka zabójstwa, podlegająca prawu karnemu.

Jeden z sekundantów zrobił uwagę, iż taka odmowa przyjęcia pojedynku, może zniewolić Floryana do wyrządzenia Antoniemu „czynnej obrazy“ w jakiem publicznem miejscu.

— Ha, jeżeli tak, to się będę musiał udać pod opiekę policyi.

Floryan, otrzymawszy odpowiedź Antoniego, nazwał go nikczemnikiem. Kapitan, otrzymawszy odpowiedź Floryana, nazwał go tchórzem — w głębi serca jednak, może czuł słuszność jego postępowania, nie ponowił bowiem wyzwania, czując, że toby było nadaremnem. Nie szukał także środków do zmuszenia go do pojedynku: namyśliwszy się, przyszedł do przekonania, że właściwie nie ma nawet powodu czuć się obrażonym — i że gdyby nawet było przeciwnie, to wyzwawszy, uczynił już wszystko, co było potrzebne dla salwowania honoru.

Floryan również po odpowiedzi odmownej Antoniego, nie uważał za rzecz godziwą napaść na nikczemnika i publicznym skandalem starać się go zmusić do podjęcia rękawicy. Był on przekonany, że Antoniemu jako napadniętemu, opinia publiczna przyznałaby słuszność, jak się to zwykle dzieje. Antoni przyzwałby może istotnie policyę na pomoc, a w każdym razie sprawa gorszy tylko wzięłaby obrót.

XXXI.

We dwa dni później odbył się pogrzeb Czecieczewicza. Kapitan prowadził za konduktem swoją żonę, córce kazał iść z Antonim. Dziunia blada, zmieniona strasznie, prawie bezprzytomna szła za trumną, jakby to nie nieboszczyka, ale ją samą żywcem miano zakopać. Nogi chwiały się pod nią; mimowoli opierać się musiała na ramieniu Antoniego.

Antoni, prowadząc ją, szedł z odkrytą głową, w ręku trzymając kapelusz pokryty czarną krepą, tak jakby należał do rodziny zmarłego. Mrugał swoim zwyczajem oczyma, gładził łysinę, a sadził się ciągle na okazywanie Dziuni swej o nią troskliwości. Czynił to zaś w taki sposób, aby jak najwięcej zwracać uwagę wszystkich obecnych. Oglądał się przytem od czasu do czasu po za siebie trwożliwym wzrokiem: obawiał się zapewne napadu ze strony Floryana.

Floryan o tem nie myślał. Cóżby był zyskał na takiej gorszącej scenie? Patrzał na Dziunię, towarzysząc konduktowi i serce mu się krajało. Od dnia pogrzebu jego matki nigdy żaden pogrzeb nie wywarł na niego tak bolesnego wrażenia.

Nie stracił on jednak jeszcze całkiem nadziei. Sprawy nie zasypiał i tysiąc snuł planów uratowania zagrożonego swego szczęścia — i szczęścia Dziuni. Przedewszystkiem czuł niezbędną potrzebę porozumienia się z nią. Nazajutrz zaraz po pogrzebie wysłał do niej bilecik, a nieotrzymawszy odpowiedzi, codzień w gorętszych wyrazach zaklinał ją o oznaczenie godziny i miejsca, gdzieby się zejść mogli. Wszystko napróżno. Odpowiedzi nie było. Czy listy jego nie dochodziły do jej rąk, czy też nie mogła lub nie chciała przesłać mu ani słóweczka — tego pytania nie umiał sobie rozwiązać. Był w rozpaczy.

Kapitan, powziąwszy snać jakieś podejrzenie, pilnował córki argusowemi oczyma. Sam z domu przestał prawie wychodzić, a żonie z córką również nigdzie wyjść nie pozwalał.

Tymczasem przygotowania do ślubu z niezwykłym czyniono pospiechem.

Pan Antoni w swojej kamienicy wypowiedział mieszkanie lokatorom pierwszego piętra — a tymczasem najął kilka pokojów w sąsiednim domu. Pragnąc wyporządzić i umeblować swoje mieszkanie wedle gustu narzeczonej, przynosił do niej codzień próbki papierowych obić i materyj na meble do wyboru. Dziunia na jego zapytania i grzeczności nie odpowiadała zwykle ani słowa, chyba że ojciec groźnie krzyknął jej nad głową:

— Dziuniu! podziękuj!

— Dziuniu! no! wybieraj!... prędzej!

Poczem obracał się kapitan z rubasznym śmiechem do Antoniego:

— Bo to sem takie nieśmiałe dziecko, nie ma odwagi teraz gadać do narzeczonego... Sie ist so schüchtern!... No, no, ale już ona po ślubie nabierze śmiałości.

I pogłaskał ją pod brodę, albo w policzek figlarnie uszczypnął.

XXXII.

Na kilka dni przed ślubem pojawił się w kronice jednego z dzienników lwowskich następujący artykulik:

„Jeden z domków przy ulicy Mickiewicza był w przeszłym miesiącu miejscem szczególnego zdarzenia. Panna Wanda*** nadobna, skromna i starannie wychowana córka pewnego pensyonowanego wojskowego, człowieka powszechnie szanowanego i wielkiej zacności charakteru, ulegając woli rodziców, miała pójść za mąż za p. M. właściciela małej obdłużonej wioseczki. Goście sproszeni na wesele zgromadzili się już w domu rodziców panny młodej i wybierano się na ślub do kościoła, gdy wtem pan młody — znika. Zmuszony wydalić się z powodu zasłabnięcia stryja, korzysta z tej sposobności i ucieka w świat siłą pary. Omyliły go spodziewane nadzieje co do znacznego spadku po dziadku panny młodej i postanowił przed samym ślubem zerwać małżeństwo: wyjechał Bóg wie dokąd szukać posażniejszej żony. Nie ma pana młodego, goście mają się rozchodzić.

„Ale gdzież się podziała panna młoda? Czy w pokoiku swym wylewa łzy gorzkie za niewdzięcznikiem, który ją porzucił? Nie, tam jej nie ma. Czy z rozpaczy pobiegła do Pełczyńskiego stawu? Nie; znając pana narzeczonego, nikt się tego nie potrzebował obawiać. Ale gdzież jest? Szukają jej wszyscy w całym domu. Napróżno. Ogólne przerażenie. Wreszcie okazało się, że siedzi zamknięta — w spiżarni. Kto ją tam zamknął? Przywołano ślusarza i otworzono drzwi. Była samą oczywiście?... Otóż nie, nie była samą pod kluczem. Oprócz panny młodej był tam... nasz współpracownik; czemuż mamy taić nazwisko serdecznego naszego kolegi i przyjaciela? — był tam pan Floryan***, któremu udało się w tak miłem towarzystwie kilka godzin sam na sam przepędzić. Ale któż to zamknął oboje młodych w tym najsłodszem z więzień? Nie wiadomo. Dwunastoletni synek jednego z gości, p. Afr. twierdzi, że zamykającym był sam pan młody, ale twierdzenie to wydaje się wielce nieprawdopodobnem.

„Mniejsza zresztą o to, kto to uczynił i w jakim celu, dość, że skojarzył najszczęśliwszą parę, znając bowiem wysokie uczucie honoru ojca panny młodej, nie potrzeba nawet przeczyć pogłosce niedorzecznej, jakoby zmuszał córkę do wyjścia za mąż za pewnego staruszka, pana A., dyrektora jednej z tutejszych instytucyi finansowych, który znanym będąc z chciwości, dybaćby chyba tylko mógł na spodziewaną po dziadku panny sukcesyę.

„Ślub panny Wandy*** z panem Floryanem*** odbędzie się wkrótce. Nie omieszkamy w swoim czasie zaprosić na ten obrzęd licznych przyjaciół naszego współpracownika, których ma między naszymi czytelnikami“.

Artykulik ten, jak łatwo się domyśleć, umieszczony przez Floryana, nie odniósł spodziewanego skutku. Kapitan oprócz wiedeńskiej „Presse“, dzienników nie czytywał wcale, nie czytał go zatem, a nikt z jego znajomych nie miał ani chęci, ani odwagi, aby nań uwagę jego zwrócić.

Panu Antoniemu numer z tą kroniczką dostał się do rąk. Przeczytał, mrugnął kilkanaście razy, potarł łysinę, pomacał malinę i rzecz całą, jak to mówią, schował do kieszeni.

XXXIII.

Na trzy dni przed zapowiedzianym dniem ślubu próbował Florek jeszcze jednego środka ratunku. Udał się z wizytą do znanej nam młodej wdówki, pani audytorowej Gluńskiej i zwierzywszy się przed nią ze wszystkiem, wymownem przedstawieniem swojej rozpaczy i cierpienia Dziuni, po długich a długich prośbach i zaklęciach, wymógł na niej obietnicę wzięcia w swe ręce całej sprawy. Ułożono zatem, że pani Gluńska wywiezie tajemnie Dziunię z domu rodzicielskiego na wieś do jej ciotki, panny Celestyny. Gdy pierwsza burza przeminie, gniew ojca uda się przebłagać za staraniem przyjaciół — i wszystko dobrze się skończy. W tem cała nadzieja.

Gluńska dwukrotną tegoż samego dnia złożyła wizytę kapitanowstwu — lecz ani razu nie powiodło jej się pomówić sam na sam z Dziunią.

Nazajutrz ku wielkiemu zdziwieniu kapitana przyjeżdża znowu pani Gluńska. I znowu ta sama przeszkoda. Na wypadek gdyby nie znalazła sposobności porozumienia się z Dziunią, przygotowała pani Gluńska bilecik — a na dowód, że działa z upoważnienia Floryana, zawinęła ten bilet w list jego, pisany do niej w tej sprawie.

Żegnając się z Dziunią, chciała wsunąć jej w rękę ten zwitek. Dziunia jednak, nie przyzwyczajona snać do odbierania tajnych korespondencyi, nie spostrzegła tego, a zwitek upadł na ziemię.

— Co to za list? — rzucając się dla podjęcia go zapytał kapitan.

Prędzej jednak niż go pochwycić zdołał podjęła go pani Gluńska.

— List do mnie, który mi wypadł z kieszeni...

— Nie! nie! nieprawdę pani mówi! proszę pokazać.

Gluńska udała obrażoną.

— To sem był list do Dziuni!

Gluńska pokazała mu adres: na adresie stało jej własne nazwisko.

Kapitan chciał list wziąć do ręki.

Ściągnęła brwi gniewnie i schowała list szybkim ruchem do kieszeni. Wtedy rozpogodziła czoło i rzekła z kokieteryą:

— Panie kapitanie! przepraszam! mimo starej naszej znajomości nie mogę panu dać listu do mnie pisanego...

Kapitan zmuszony był przeprosić. Podejrzenia jego jednak zręczny ten manewr nie uspokoił.

Gluńska depeszy oddać już nie mogła, zostawiła natomiast swoją chusteczkę batystową, aby mieć pozór powtórnej tego dnia wizyty.

Przyjechała po zgubioną chusteczkę po południu, a przybyła nie sama, ale z panią kasyerową Tecudzińską. Kapitan miał się na baczności: w czasie jej wizyty nie wychodził ani na chwilę z salonu. Na przebiegłość kobiecą nie ma jednak środka w męzkiej przezorności. On wprawdzie nie wyszedł, ale za to wyszła pani Gluńska z Dziunią. Wśród ożywionej z nim rozmowy, udała ona nagle zmięszanie i szepnąwszy do ucha Dziuni parę słów dość głośno, aby i ojciec usłyszał o co idzie — wyniosła się z nią do alkierza pod pozorem naprawienia nagłej jakiejś a niebezpiecznej dezorganizacyi w ubraniu.

— Idź-no Fryziu — rzekł kapitan do żony — może pani audytorowa potrzebuje jakiej pomocy.

Ale pani audytorowa już się z Dziunią w alkierzu zamknęła.

— Otwórz Dziuniu! to ja! — wołała kapitanowa.

— O nie, nie, łaskawa pani!... Dziunia mi pomoże. Nie uwierzyłaby pani, jakie fatalne spotkało mnie zdarzenie..... Dziunieczko dajże mi igły!..

Niemożebnem było przeciągać zbyt długo tej tajnej konferencyi alkierzowej, ale przez tych dziesięć minut spędzonych z Dziunią, wyczerpała wdówka cały zapas wymownych swoich argumentów.

Dziunia się wahała.

— To ostatni środek ratunku! jak ten odepchniesz — to wszystko stracone. Całe życie będziesz nieszczęśliwą i on nieszczęśliwym!... Miejże litość nad nim, jeżeli jej nie masz nad sobą!

— Ah, pani nie wie, co ojciec będzie wyrabiał, jak się dowie! pani nie zna mego ojca! pani nie wie, co on w gniewie gotów zrobić!...

— Wiem, wiem, moje dziecko! wszak on był przyjacielem od serca nieboszczyka mego męża. Znam go lepiej, niż ty sama. Wybuch będzie straszny — ale nie długo potrwa. Ułagodzimy go rychło. On ma grunt serca dobry, tylko trzeba wiedzieć jak z nim postępować... No cóż? czy zgoda?

— Nie, ja nie mam na to odwagi!

— Cóż zrobisz? innego środka nie ma!

— Ja powiem panu Antoniemu, że go nie kocham, że go nienawidzę!... że go całe życie nienawidzieć będę!...

— On się roześmieje.. to go wcale nie zniechęci. Ty nie znasz jeszcze mężczyzn. Ich taki upór bardziej przyciąga od objawów przywiązania... A Antoniemu zresztą może i o twoją miłość wcale nie idzie, tylko o spadek po dziadku... Jak mu powiesz, że go nienawidzisz, to on to ojcu twemu powtórzyć gotów..

(C. d. n.)

POGADANKI O WŁOSZECH

Olgi hr. Komorowskiej.

III.

W ostatniej pogadance dotknęliśmy mimochodem religii Włochów, jej zewnętrznych oznak i braku zupełnego ducha. Na potwierdzenie jakby słów naszych, w ostatnich dniach, przedstawiły się fakta, dowodzące obojętności ogólnej w wyższych warstwach, a pogardliwej nieświadomości w najniższych tutejszego społeczeństwa.

W dzień śmierci papieża Piusa IX, tu w Genui, gdzie obecnie przebywamy, tłumy gromadziły się na ulicach; wszyscy biegli mocno zaciekawieni stentorowymi głosami sprzedających dzienniki, którzy okrzykiwali świeży towar bardzo zachęcająco, dodając tu i ówdzie, to żartobliwe jakieś słówko zastosowane do okoliczności, to przechodząc w ton niby kantyczkowy:

„Umarł papież Pius IX! Umarł papież Pius IX!

„Jakto dopiero teraz? — zapytał jeden wyrobnik drugiego, leniwie opartego o ścianę gmachu giełdowego nad portem. — Myślałem, że ten papież dawno już umarł, nic o nim słychać nie było.“

Towarzysz głęboko zamyślony, czy o niebieskich migdałach, czy też o bardziej ziemskiej rzeczy, bo o fiasku Monferrato, odparł spluwając obojętnie:

„Być może, że to inny Pius IX. co dzisiaj umarł... zresztą to wszystko jedno; co komu zależy na jego życiu lub śmierci.“

Wyrażał on stan umysłów wszystkich jemu podobnych...

Podczas nabożeństwa żałobnego, urzędy, wojskowość, wystąpiły w pełnej paradzie jak na egzekwie odprawiane za króla; sklepy jednak w Rzymie z małymi wyjątkami były pootwierane, oprócz tak zwanej Citta Leonina, dzielnicy tuż koło Watykanu się znajdującej.

Cisnął się lud całować nogi trupa; wspinali się na palcach ciekawi, wdrapywali na ramiona, aby czynić uwagi i porównania, który z dwóch katafalków wystawionych w tym krótkim przeciągu czasu na podziwienie tłumu, był okazalszym; liczono świece, koszta balsamowania; ale gdyby jaki wielki rabin hebrajski leżał tam zamiast papieża, byłoby to zaiste bardzo obojętnem dla wszystkich.

Na prowincyi wrażeniem powszechnem taż sama obojętność; ani krytyk, ani pochwał też żadnego rodzaju, a zajęcia ani na chwilę nie wzbudziła ta wieść.

Tak samo rzecz się miała i z wyborem nowego papieża; ciekawość, nic więcej, gnała liczne zastępy bieżące w stronę św. Piotra; taż sama czcza chętka nowości prowadziła mieszkańców innych miast królestwa do oblegania kiosków i rozkupywania dzienników; łączyła, skupiała, zatrzymywała kółka wyrobników, kupców, próżniaków, chciwych nowego widowiska jedynie.

Leon XIII. raz obrany, utonął już w niepamięci; może on na świat wysełać grzmiące encykliki, zbroić wiernych do krzyżowych wojen, króla Humberta ekskomunikować nawet, i z tronu Piotra wołać do rozprószonych w pięciu częściach świata owieczek głosem protestu, Włoch zmruży jedno oko, cmoknie ustami znacząco, lub klaśnie w palce na dowód, że go to tyle obchodzi.... ile przeszłoroczny śnieg. Na krzyżowe wojny odpowie zbyt ufnie może przymierzem swojem z Prusami i Moskwą; na wszelkie protesta, a czasami nawet oszczerstwa, jednogłośnie i rzetelnie zasłoni się faktami, iż zmarłego uszanowano jak monarchę, uczczono jako głowę kościoła, ani razu nie plwano na osiwiałą głowę starca, a choć za życia uważano go za dąsającego się, zdziecinniałego, i złymi podszeptami wiedzionego kapłana, to po śmierci zapomniano o wielu błędach, a co było dobrego i jasnego w tym długim żywocie, urzędowo umiano je sobie przypomnieć.

Chłodna rozwaga w nic nie wierzących, i dzika nieco ciemnota masy, tu zbiegły się i wyszło to na korzyść. Wszystko się odbyło spokojnie, a dziś chwilowo, przelotnie rozbudzona pamięć ludu już usnęła napowrót snem... znużenia.

O ile bezstronnie chwalić nam wypada to mimowolne umiarkowanie Włochów w kwestyi tak gwałtownie burzącej jeszcze inne kraje Europy, o tyle ze smutkiem przekonywamy się co dnia, jak zawsze tą grubą nieświadomością wiedzeni, o kwestyi naszej narodowej fałszywe mają wyobrażenia, a co jeszcze boleśniejszem jest, nie chcą, odmawiają upornie jej sprostowania; zamykają oczy i uszy bawełną zatykają, bawełną zaiste straszliwie cuchnącą juchtem, co tu teraz tak w modzie, jak niegdyś fałszywe brylanty i kosmetyki paryskie. Jucht ów, złączony z oficyalnemi uściskami Hohenzollerna, czyni tych, co kiedyś sami jęczeli pod uciskiem, walczyli, cierpieli i

*

spiskowali, grzesznie obojętnymi i dorobkiewiczowsko-oburzająco-niesprawiedliwymi dla nas.

Dwa zarzuty spadają na nasze i tak już biedą pochylone głowy: pierwszym jest (zawsze podług ich mniemania) nasz fanatyzm religijny, a drugim równie im dzisiaj wstrętna nazwa „Français du Nord.“ W obu razach jesteśmy ich nieprzyjaciołmi, czy to wyciągając z pochwy miecz na obronę władzy doczesnej papieża; czy to lekko, z wdziękiem, naśladując nienawistnych im naszych wiekowych sprzymierzeńców, a sojuszem pruskim karanych wrogów ich jedności.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, iż oba te zarzuty są wynikami dwóch prądów, obecnie cały półwysep przebiegających, budzących nadzieje może bardzo patryotyczne, ale niestety, mocno samolubne; a to aby oparłszy się na sile dwóch kolosów, zdaniem naszem sile nie długotrwałej, w przewidywanym podziale Europy na dwa mocarstwa być wyjętemi z pod ogólnej zagłady; dalej nawet na kształt Łazarza na uczcie Epulona, pożywić się resztkami spadającemi ze stołu biesiady, w postaci zwrotu Sabaudyi i Nicei z jednej, a z drugiej strony Tyrolu i kto wie co dalej... Łazarz ów, siedząc skromnie tak długo na uboczu, zrobił się dobrodusznym, łatwowiernym, jak szpitalny żebrak, i wierzy wszystkim obiecankom, cacankom podchmielonego Epulona, co rozdaje szczodrze czego jeszcze nie posiada; a za to hymny pochwalne odbiera dla zachęty.

Papa Garibaldi, (dziwcie się potem, że kobiety ładne i młode są płoche i niestałe, kiedy dziaduś z Caprery ze wszystkiemi swemi reumatyzmami także w motylka się zabawia), ów chorąży wolności, niby to wziąwszy za pretekst kwestyę siostrzanej Grecyi, wypalił liścik do jakiegoś przyjaciela i druha, pod niebiosa wynosząc cara północy i starego ulubieńca Opatrzności; ów tenże Garibaldi, którego amarantowa koszula służyła za hasło do boju o wolność, i świeciła w uznaniu nawet i w strojach niewieścich czas jakiś. Zmienił on ją dziś na szlafrok staruszka, szyty berlińską włóczką i astrachańskimi barankami zdobny. Idzie z prądem czasu i liściki owe kreśli widocznie na stoliczku z malakitu.

Jak widzicie akcye nasze stoją tu niżej jeszcze od pożyczki egipskiej, a jak dawniej wołano „wolność, równość, niepodległość dla wszystkich;“ tak dziś dostawszy się osobiście do upragnionej wolności, zapomniało się zupełnie jak to bolą razy trzcin kapralskich, a nahajka wisząca dotąd nad nami, spleciona z jedwabnych sznureczków być się zdaje... bo nie na ich plecy spada.

Nie mają oni tu wymówki naszych opiekunów galicyjskich, że nasz żywioł był im w czemkolwiek szkodliwym, bo jest nas tu bardzo mało. O dawnej szkole w Cuneo sami mówią jeszcze nieźle; a dziś albo postarzeliśmy się i siedzimy spokojnie kaszląc, albo śpiewamy, malujemy dla przepędzenia czasu; biliśmy się za nich, a niektórzy służą do dziś w armii. Nie dają nam zapomogi, ale płacimy jak możemy za gościnność i błękit ich nieba; uczymy się ich języka i mówimy nim wcale poprawnie, piszemy nieraz, a jednak w obecnej chwili uważani jesteśmy nieco jak psy w kręgielni; nasze myśli, czynności, pisma, zupełnym ostracyzmem są dotknięte.

I tak: z pomocą i za poradą kilku światlejszych ludzi z grona pół uczonych, przedsięwzięliśmy tłumaczenie niektórych dzieł Słowackiego, Krasińskiego, Kraszewskiego i Pola, a mianowicie tych, co by w jednym obrazku, treściwie, mogły wypowiedzieć ducha narodu, przeszłość, dążenia jego i bole wycierpiane; a to dla obznajomienia tychże Włochów grupujących nas z samoistnością naszą w zbiorową nazwę „Slavi“. Współpracownicy nasi, poprawkami podług naszej wskazówki, uzupełnili czystość stylu ich rodzinnego języka, nie uszkodziwszy wierności tłumaczenia.

Otworzyliśmy seryę Anhellim biblijnej prostoty; a było to właśnie kiedy zwycięztwo ważyło się jeszcze między półksiężycem i kozacką dzidą. Po dosyć długiem wyczekiwaniu, redakcya „Przeglądu międzynarodowego“ tak zwana „Rivista Europea“ przez usta swego posiadacza, oznajmiła nam krótko i węzłowato, że ów utwór „Signora Słowackiego“ jest „w rodzaju zupełnie nieznanym we Włoszech,“ a co gorzej „absolutnie nie do gustu publiczności.“ Odpowiedź ta przyszła jednak podczas kiedy wielki książę Mikołaj jadł już sorbety i głaskał po brodzie sułtana w Carogrodzie, a z Polaków, w Turcyi znajdujących się, urządził rzeź niewiniątek dla rozrywki.

Biedny Anhelli poszedł do szufladki, nie zwyciężony, przeciwnie; oczekując tylko aby o własnych siłach, a nie pod opiekuńczemi skrzydłami adwokackich aniołów tutejszych, mógł w świat wylecieć; będzie on kiedyś jeszcze w guście tej niechętnej publiczności, bo ma siłę wiary w przyszłość; a przygotowany do druku pierwszy tom „Starej Baśni“ dotrzymuje mu towarzystwa, gdyż może i „Signor Kraszewski“ nie byłby do gustu!

Nasuwają tu się myśli bardzo niekorzystne w ogóle dla rodzaju ludzkiego; to jest, że pięść silna uzbrojona nahajką, pomimo wszystkich ulepszeń postępowych, jest przecież najlepszym z najlepszych środków dowiedzenia tejże ludzkości swej wyższości. Nie wolno tego powtarzać głośno, bo synkowie w kraju co i tak nie lubią bardzo ducha rozwijać, gotowiby na tej podstawie odmówić już zupełnie chodzenia do szkół, tylko by chcieli ćwiczyć pięści, albo jedni na drugich, lub trzaskając z bicza rzęsiście, a co najwięcej młynka lub krzyżową sztuką kijem w powietrzu obracać.

Nadzieja na swych różowo idealnych skrzydłach niech nam służy tu zamiast rumaka, i uniesie w świetniejsze krainy wyobraźni, sztuki, lub cudów przyrody, inaczej z pogadanek stałyby się jakieś wielkopostne lamentacye. Nadzieja to przyświeca każdemu losem prześladowanemu i nigdy nas opuszczać nie powinna.

Zapomniano o nas; nikt głosu nie podnosi, ale oby jak macocha biednego Cendrillon-Kopciuszka, nie pożałowano kiedyś, że nas zostawiono w domu, przy wygasłem ognisku, a inne córki balowo strojne wodzono po złoconych gmachach królewskich! Owe chrzestne mateczki, wróżki i czarodziejki, nie są wymysłem tylko poetycznych wyobraźni bajko-pisarzy, zwą się one jak kto chce wybrać, Opatrznością albo „fatum“, potężniejsze od nahajek, Krupów i koalicyi.

Silna wola, dojrzałość umysłów, zastąpią nam różczkę czarodziejki, a zgoda i jedność z Kopciuszka, świetną, potężną córę wolności znów odtworzą. Co się ma stać, stanie.

(C. d. n.)

WADY PUBLICZNEGO WYCHOWANIA

ZE STANOWISKA LEKARSKIEGO

PODŁUG DR. BAGIŃSKIEGO

napisał

DR. ADAM ZAGÓRSKI.

(Dokończenie).

Obowiązkiem szkoły jest starać się o zapobieżenie rozwijania się tej choroby i co się da głównie osiągnąć przez urządzenie odpowiednich ławek. Siedzenie prosto przy pisaniu i robotach ręcznych jest wtedy możebne, jeżeli nogi są dostatecznie podparte tj. jeżeli wysokość ławki, rachując od podparcia stóp do siedzenia, równa się długości goleni, jeżeli uda siedzącego w całości na ławie spoczywają, jeżeli brzeg ławki jest na jednej płaszczyźnie z wewnętrznym brzegiem stołu, a nawet jeżeli ławka o 3 centimetry zachodzi pod brzeg stołu, jeżeli odległość pionowa ławki od stołu jest taka, aby piszący mógł z łatwością bez podnoszenia ramienia i pochylenia grzbietu i głowy położyć ręce na stole. Znaczy to, aby ławki były zastosowane do wzrostu dzieci. Mierzenia, robione w tym celu, wykazały, że wysokość całej ławki musi się równać 2/7 wysokości dziecka, wysokość siedzenia równa się 1/5 długości dziecka. Różnica między wysokością stołu i ławki ma wynosić 1/8 długości dziecka + 2, 5 cm. dla chłopców, a 1,2 cm. dla dziewcząt (z powodu grubości ubrania).

Badania Hermana Mayera wykazały, że podpora pod krzyże jest lepsza jak podpora pod całe plecy, bo zapobiega zsuwaniu się, ułatwia wygodne siedzenie i podtrzymuje całe ciało przy pisaniu i robotach ręcznych. Aby można siedzieć bez pochylenia głowy, zgodzono się na pochylenie płaszczyzny stołu na 6, 5 cm. przy szerokości stołu na 39 cm; 10 cm. z tej szerokości zostawia się poziomo, aby można postawić atrament i inne materyały pismienne. Żądania pedagogów, aby dzieci zarówno dobrze w ławkach siedzieć i stać mogły, natrafiły na wiele trudności, zdawało się to niemożebnem, jeżeli ławka powinna swym brzegiem pod stół sięgać. Zdecydowano się więc, aby w jednej ławce tylko dwoje dzieci siedziało, aby dziecko przy wstawaniu z ławki wyjść mogło (Buchner, Buhl-Linsmayer); nie okazało się to jednak praktycznem, ponieważ dziecko, wsuwając się do ławki, zawija pod sobą ubranie i przez to krzywo siedzi. Chcąc temu zapobiedz, Cohn i Kunze zrobili ruchomy wierzch stołu, a Kleiber i Kaizer ruchome siedzenie.

Z kolei przystępujemy do cierpień nerwowych u młodzieży szkolnej, a specyalnie do przekrwienia mózgu. Choroba ta polega na utrudnionym odpływie krwi z czaszki; wszystko więc co wywołuje nacisk na żyły szyi, co je zwęża i zgina, a przez to zgięcie przy siedzeniu i pochylenie głowy. Dalej niedostateczne oddychanie, gdy się siedzi skurczonym; wreszcie zanadto wielka umysłowa praca, która sprowadza znaczny przypływ krwi do mózgu. Szkoła łączy w sobie wszystkie te warunki. Natężenia umysłowe, uwaga na przedmiot wykładany i rywalizacya napędza krew do głowy, krzywe siedzenie z pochyloną głową i powierzchowne oddychanie przeszkadza odpływowi krwi z mózgu; i tak powstaje cierpienie mózgu, któremu nawet pedagogowie nie zaprzeczają. Dzieci skarżą się na silny ból głowy, są niespokojne, światło ich razi, spać nie mogą, powstaje brak apetytu a czasami i wymioty, ziewanie, a

często i wzdychanie. Wstrzymanie się od uczęszczania do szkoły i odpowiednie tra towanie usuwają tę chorobę, lecz charakterystycznem jest, że napady powracają po każdem umysłowem natężeniu.

Niektórzy lekarze posądzają nawet szkołę o przyczynianie się do powstawania chorób umysłowych. W ogólności jest to jednak przesada: gdzie jest usposobienie do choroby umysłowej, tam oddziaływają bardzo szkodliwie błędy w wychowaniu, czy to ze strony rodziców, czy też nauczyciela. Dzieci, które pewne duchowe właściwości już w pierwszej młodości okazują, nie powinny chodzić do szkoły. Dzieci takie są niespokojne, złośliwe, kłótliwe i uparte. Są one ociężałe tak w działaniach swoich duchowych, jako i cielesnych. Z innych chorób nerwowych obwiniają szkołę o przyczynianie się do powstawania tańca św. Wita, trafiającego się częściej u dziewcząt, jak u chłopców. Przyczyny tę chorobę wywołujące są między innemi reumatyzm, przestrach, bojaźń; do czego właśnie i szkoła przyczynić się może. Stanie przed zamkniętemi drzwiami budynku szkolnego przed rozpoczęciem lekcyi, zmiana rozgrzanej atmosfery szkolnej na uliczną, a mianowicie, jeżeli jest daleko z domu do szkoły. Figle dziecinne, gdy jedno drugie przestrasza, nie oceniwszy następstw, często nie bardzo miłe niespodzianki: np. niespodziewana kara ze strony nauczyciela może wywołać tę chorobę u bardzo drażliwych dzieci. Utrzymują także, że przez naśladowanie (imitacyę) dzieci nerwowe mogą nabyć tej choroby.

Co się tyczy padaczki (epilepsia), to zwierzchność szkolna nie powinna przyjmować do szkoły dzieci dotkniętych tą chorobą, raz dla tego, że na takie dzieci trzeba ciągłą uwagę zwracać, delikatnie się z niemi obchodzić i to nietylko ze strony nauczycieli, ale i współkolegów, a powtóre napady epileptyczne w szkole bardzo źle oddziaływają na umysł innych dzieci, a przytem, że dzieci, mające skłonność do padaczki, zapatrzywszy się na napad innego, same mogą dostać tej choroby.

Pod względem jąkania uważać należy, aby dzieci mające trudną wymowę nie sadzać obok siebie, bo w tem cierpieniu naśladowanie odgrywa bardzo ważną rolę.

Przystępujemy teraz do najczęstszych dolegliwości uczącej się młodzieży, to jest do chorób oczu: Badania wykazały, 1. że my w dzieciństwie po większej części jesteśmy dalekowidzami; 2. że pod wpływem uczenia się w szkole dalekowidzenie się zmniejsza i powstaje krótkowidzenie; 3. że w szkołach wiejskich liczba krótkowidzów jest mała 1.4%: 4. że krótkowidzenie w wiejskich szkołach elementarnych i miejskich jest w stosunku jak 1,4%; 11,4% i że wzrasta z postępem klas; 5. że w szkołach średnich więcej jak dziesiąta część, w szkołach realnych prawie $1/5$, zaś w gimnazyach więcej jak $1/4$ część ma krótki wzrok (są to dochodzenia w szkołach pruskich); 6. że im krótszy wzrok, tem siła widzenia jest mniejsza. Jakież są przyczyny, wywołujące podobne zmiany w oczach? Z badań Kohna pokazało się, że im gorsze oświetlenie w szkole, tem więcej krótkowidzów, a więc szkoły zbudowane przy wązkich ulicach, na przeciw wysokich budynków są najgorsze. Szkoła powinna się starać o normalnie zbudowane ławki, światło musi być tak urządzone, ażeby padało z lewej strony w dostatecznej ilości nawet podczas pochmurnych dni zimowych. Obrachowano, że powinno być 205.22—273.62 cm.□ szkła na 0.099 m.□ powierzchni pokoju. Przy oświetleniu sztucznem nie wolno pracować, a głównie nie wolno pisać; gdzie zaś to już być musi, najlepszy jest gaz, lub kamfina, jeden płomień na 4—6 uczni.

Z innych chorób oczu interesuje nas zéz, albowiem dzieci lubią naśladować swoich zezowatych współtowarzyszów. Ponieważ wszelkie zapalenia oczu są zaraźliwe, czy tak zwane kataralne, czy też egipskie; należy dzieciom takim zabronić chodzić do szkoły. Trafiały się bowiem wypadki, że między uczniami tak się te choroby rozwijały, że musiano zamknąć szkołę.

A teraz o chorobach dróg oddechowych. Krwotoki z nosa bardzo często się zdarzają u młodzieży szkolnej wskutek braku dostatecznego ruchu.

Szwajcarscy badacze, a szczególniej Guillaume, znajdywali u dzieci szkolnych wiele wypadków wola, które w czasie feryi miało się zmniejszać. Cierpienia krtani, a mianowicie chrypka u młodzieży szkolnej da się łatwo wytłumaczyć. Zaziębienia często się tu przytrafiają, a szczególniej przy wyjściu z gorących pokojów na pauzy, jeżeli dzieci przedtem mówiły, a jeszcze częściej, gdy śpiewały; dla tego też uważać należy, ażeby na ostatnią godzinę nigdy nie wypadła lekcya śpiewu. Toż samo da się powiedzieć i o chorobach płuc, a w tym razie gimnastyka, po której dzieci dłuższy czas na ulicy zostają, jeśt częstą przyczyną ich rozwijania się.

Zapalenie gardła powstaje z tych samych powodów, co poprzednie choroby.

Zarzut, że szkoła głównie przyczynia się do rozpowszechnienia chorób nagminnych, czyli epidemicznych, jest niestety słuszny. Prawie każda epidemia mianowicie w małych miasteczkach, gdzie zarażenie się od jednego do drugiego wypadku łatwiej można sprawdzić, to potwierdza. W trojaki sposób rozprzestrzeniają się te choroby: najpierw przez chorych uczniów przyniesione do szkoły, udzielają się od dziecka do dziecka, przez dotykanie i oddychanie. Tu należy koklusz, odra, dławiec (zw. angina) a także świerzby, parchy na głowie i td. Powtóre przeniesienie pośrednie przez zdrowe dzieci, jeżeli kto w domu chory, przez ubranie, tu należy: szkarłatyna, ospa i tyfus wysepkowy. Po trzecie za pośrednictwem wychodków, przy cholerze, tyfusie brzusznym i dysenteryi, jako też przez zepsutą wodę do picia. Chociaż łatwo są widoczne drogi, któremi szkoła przyczynia się do rozpowszechnienia chorób nagminnych, bardzo trudno jest jednak temu zapobiedz. Konieczną jest ściśle higieniczna opieka nad szkołą, jednakże łatwo pozostaje bez siły, gdy nie pomagają rodzice młodzieży szkolnej. Surowo winno być zakazane posyłać dzieci do szkoły z domu, gdzie panują choroby zaraźliwe.

Przeszedłszy w krótkości wady i braki, jakie nam się przedstawiają przy posyłaniu dzieci do szkoły, możemy ułożyć następujące warunki hygieniczne dobrej szkoły:

I. Budynek szkolny musi stać na suchych fundamentach, na wolnem miejscu dla dobrego przystępu światła i powietrza. Pod całym domem powinny być piwnice, ściany mają wyschnąć dokładnie, zanim się szkoła rozpocznie.

II. Każda szkoła powinna mieć dobry system palenia i wentylacyjny, aby dał 60 kb. m. powietrza dla jednej osoby przez godzinę.

III. Okna w szkole muszą być tak położone, żeby światło padało z lewej strony dzieci i stosunek powierzchni szkła do kwadratowej powierzchni miejsca powinien być jak 1 : 3—4, t. j. wielkie szerokie okna od wschodu. Sztuczne oświetlenie nie powinno mieć miejsca.

IV. Każda szkoła winna mieć krytą galeryą, salę gimnastyczną i dziedziniec do zabawy.

V. Dla każdego ucznia w klasie winno być 0.325 m.□ miejsca, a dla starszych uczniów 0.5 m.□. Wysokość ścian pokoju ma wynosić 4—4.5 m.

VI. Ławki muszą odpowiadać wzrostowi dzieci i co pół roku trzeba je przypasowywać. Najlepsze ławki są Kuncego i Kaisera z ruchomym stołem, lub siedzeniem.

VII. Pokoje mają być co tydzień oczyszczane z prochu i starać się należy, aby dzieci przed wejściem do klasy nogi dobrze wyczyściły.

VIII. Zwierzchnie odzienie powinno wisieć na korytarzu, lub osobnym na to przeznaczonym pokoju.

IX. Wychodki powinny być w dostatecznej liczbie i tak umieszczone, ażeby mogły być obserwowane z budynku szkolnego, lecz nie śmią być w tym samym domu. Poleca się dokładne ich czyszczenie i desinfekcya. Powinny mieć beczki, albo kanały odpływowe, a nigdy zwykłe doły.

X. Każda szkoła powinna mieć studnię z dobrą wodą do picia.

XI. Nie wolno dzieci przyjmować do szkoły przed ukończeniem siedmiu lat. Przejście do nauki powinny stanowić dobrze urządzone ogródki Freblowskie.

XII. Największa liczba godzin nie powinna przenosić w najniższych klasach 18tu, a w najwyższych 30tu.

XIII. Nie powinny następować po sobie dwie godziny pisania, lub robót ręcznych, podobnież unikać należy, aby dwa trudne przedmioty po sobie następowały.

XIV. Nauka gimnastyki ma być obowiązkowa tak dla chłopców, jakoteż i dziewcząt.

XV. Nauka śpiewu i gimnastyki nie śmią po sobie następować. Nauczyciele tych obydwóch przedmiotów powinni znać fizyologię.

XVI. Roboty domowe nie powinny w klasach niższych zajmować więcej czasu jak $1/2$ godziny, a najwyżej godzinę; w najwyższych klasach nigdy więcej jak 3 godziny.

XVII. Kary cielesne winny być zniesione; gdy uniknione być nie mogą, dozwolona jest tylko rózga lub cienka trzcinka. Areszt ma się odbywać pod okiem nauczyciela i to w takich godzinach, aby nie przeszkodzić dziecku w jedzeniu.

XVIII. Nad każdą szkołą powinien czuwać lekarz i zdolny inspektor. Ci powinni od czasu do czasu przekonywać się o dobroci światła, powietrza i wody w szkole; oni przymierzają ławki, decydują czy dziecko, które zachoruje, nie ma chodzić do szkoły i w razie epidemii o zamknięciu szkoły.

XIX. Nakoniec powinna być prowadzona ścisła statystyka chorych i zmarłych uczniów. O przyjęcie napowrót do szkoły po chorobie dziecka tylko lekarz zadecydować może.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 18. kwietnia.

Jestem zakłopotany bogactwem materyału kronikarskiego, jaki nam przyniósł ubiegły tydzień. A nie sądźcie, czytelnicy, żeby to był lada-jaki materyał z bruku lwowskiego, naprzykład

w postaci pyłu, którym nas codziennie o godzinie 8ej karmią szanowni czyściciele uliczni. Doprawdy, trudno sobie wytłumaczyć obojętność naszego Towarzystwa ochrony zwierząt, że się nie poskarży przed szanownym Magistratem już nie za ludzi, ale za psów leżących w sferze jego dobroczynnej działalności, gdy te biedne stworzenia, zdążając na śniadanie do jatek, muszą przeciskać się wśród tumanów kurzu ulicznego. Wiemy, że dla nas zwyczajnych dwónożnych śmiertelników zwanych Lwowianami, trudno byłoby o protekcyą, ależ płuca tych opodatkowanych osobników z zamkniętą gębą wypadałoby mieć na względzie; raz, że życie i zdrowie ich drogiem jest funduszom miejskim, a powtóre że trudno im nawet kichać, mając drucianą klatkę na nosie. Zawsze byliśmy zwolennikami wszelkiej swobody obywatelskiej, nawet gdy się ona do stróżów odnosi, jednak gdy idzie o tyle drogie psie zdrowie, mogłyby organa, czyszczące miasto, wstawać cokolwiek raniej niż o godzinie ósmej i uwolnić nas od podziwiania walki mioteł z pyłem ulicznym.

Załatwiwszy w ten sposób pierwszy numer porządku dziennego, stawiamy drugi, ofiarę naszego pisma na własność kraju. Pod względem wszelkiej ofiarności nie chcemy stać niżej od ck. galicyjskiego Towarzystwa rolniczego, które szkołę dublańską ofiarowało krajowi, a tem bardziej od p. Bronisława Wołowskiego, który swoje Kri-kri dziennikarskie zwane Messager de Vienne odstąpił także na własność kraju. Szczęśliwy człowiek będzie miał z pewnością pomnik na Wawelu, a co najmniej wolny kącik w krypcie na Skałce obok Długosza. Przed nami leży odezwa komitetu nadzorczego; (nie żartuję, tak się ten komitet nazywa) z dnia 15. marca 1878 r. zawiadamiająca współobywateli o tym doniosłym fakcie dziejowym, odezwa zachęcająca do licznej prenumeraty tego informującego Europę o sprawie naszej organu. Dzięki Bogu, mamy już teraz dwa widome znaki niewidomej reprezentacyi narodowej na zewnątrz, jeden w osobie hr. Platera, drugi w postaci co tydzień pojawiającego się arkusza papieru pod nazwą Messager de Vienne. Jeżeli Dyrekcya generalna wystawy paryzkiej wzięła go za swój organ, jeżeli bez namysłu Dyrekcya oddziału austryacko-węgierskiego wprosiła się na klienta Messagera, czyż może wahać się biedota podkarpacka odrzucić sukcesyą po kedywie wraz z jej głównym redaktorem. Pismo redagowane w języku francuskim, wychodzące w niemieckiem mieście, broniące dawniej interesów egipskich i Jego sułtańskiej mości, notabene póki te interesa były w lepszym stanie niż dzisiaj, wreszcie pismo, mające komitet nadzorczy rezydujący we Lwowie, jest pewną nowością wydawniczą, przy której możemy spać spokojnie i o nasze losy niedbać wedle słów pieśni:

Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

Tak rzeczywiście na smoku, który ile już zjadł galicyjskich pieniędzy, niech policzą panowie protektorowie wielkich naszych bomb polityczno-patryotycznych. Nie zaprzeczamy, że wielkie usługi oddać by mogło sprawie narodowej tego rodzaju pismo redagowane w obcym języku, lecz Messager de Vienne z obecną redakcyą jest zanadto zużytym organem na innych usługach, aby Europa chciała go brać na seryo. Zresztą pocóż ta własność krajowa, co może znaczyć ten komitet nadzorczy? Przecież pp. Młockich, Ujejskich znamy dobrze i nie potrzebują szukać reklamy dla swych imion na plakatach Messagera.

Jakże wobec takiego daru krajowi, odbijać musi dar zmarłego w tych czasach w Sanoku Maksymiliana Siemianowskiego, który ciszej wprawdzie, lecz cały swój majątek 60000 złr ofiarował na cele użyteczności publicznej, dzięki więc jego zacnej pamięci!

„Dziennik dla wszystkich“ — już skończył swój doczesny i krótki żywot, strawiony gorączką swych własnych konceptów. Jakkolwiek umarł w dzieciństwie, to jednak zostawił humorystycznego potomka w osobie „Bocianów Lwowskich“, których nr. 1. zobaczył światło dzienne dnia 14. kwietnia I stał się fakt dotąd niesłychany we Lwowie, c. k. prokuratorya skonfiskowała go zaraz nie dla treści częstochowskiego zakroju wierszyków—pieprznego dowcipu o edukacyi p. Dobrzańskiego syna przez p. Dobrzańskiego ojca, lecz dla brzydoty rysunku umieszczonego na ostatniej stronnicy delinkwenta.

Dla tego wdzięczni jesteśmy szanownej strażnicy publicznego spokoju, że wziąwszy w opiekę i dobry smak galicyjski, uchroniła publiczność od oglądania tego straszydła leżącego na ziemi w postaci tęgiej dziewki z przydługiemi nogami, która miała reprezentować Polskę.

Drugie urodziny nierównie szczęśliwsze obchodził w tych dniach Przemyśl witając nowopowstałe tam pismo pod tytułem *San*. Numer pierwszy przedstawił się bardzo przyzwoicie, skromnie, z powagą i interesem. W tych warunkach i w takim zakresie *San* może być bardzo dobrem i użytecznem pismem, nie takiej może ważności europejskiej jak Messager de Vienne, lecz z pewnością potrzebnem dla Przemyśla i okolicy, której chce służyć. Gdy pruskie mieściny po parę tysięcy ludności mające jak Bytoń, Katowice i inne nie mogą się obejść bez swojej gazety, wstyd byłoby dla Przemyśla, gdyby *San* nie przyjął się na tamecznym gruncie, zwłaszcza że nowa redakcya posiada wszelkie warunki dobrej i inteligentnej redakcyi.

Jeżeliśmy narzekali na brak koncertów w początku postu, za to koniec zalał nas powodzią muzykalną, nie pozwalając dzień po dniu nawet beztaktownie odetchnąć. Harmonia, Towarzystwo muzyczne, wieczory muzykalne w kasynie, koncert na dochód szpitala św. Zofii i tyle innych, o których afisze donosiły, gotowe są nakarmić nas a właściwiej napoić błogą melodyą na całe święta wielkanocne. Nie obeszło się i bez odczytów, które od niejakiego czasu jako rezerwa koncertów trapią społeczeństwo w całej Europie. Pan Duchiński miał odczyt w Przemyślu o pochodzeniu Moskali, którzy, jak dowodzi szanowny profesor, nie mają w sobie ani jednej dziesiątej części krwi słowiańskiej, idąc w krótkiej drodze (styl urzędowy) od Mongołów. Nie wiemy czy szanowny prelegent potrafił przekonać dostojnego posła przemyślskiego do Rady państwa o tej okoliczności, jednak gdyby mu się to udało, szkoły nasze uratowaćby mogły wykład historyi polskiej, której ten prałat jest takim przeciwnikiem.

Z Warszawy dochodzą nas pełne zapału i uniesień wieści o prelekcyach hr. Stanisława Tarnowskiego, jakie miał w tych czasach na dochód osad rolnych małoletnich przestępców. Odczyty te, miały za przedmiot rozbiór krytyczny Pana Tadeusza, którego prelegent stawia obok Iliady Homera, jako prawdziwy i wyjątkowo w piśmiennictwie europejskiem jedyny poemat bohaterski. Pod tym względem zgadzamy się z panem Tarnowskim i wdzięczni mu jesteśmy, że pierwszy zadał sobie tyle pracy przedstawić Pana Tadeusza takim jakim być powinien wobec literatury zagranicznej. Wierzymy na słowo dziennikom warszawskim, że prelekcye te były świetnemi, że publiczność witała i żegnała prelegenta z entuzyazmem, bo pan profesor Tarnowski potrafi być sympatycznym, jeżeli tylko chce być sprawiedliwym, mierząc przedmiot podług jego wartości, a nie zapatrywań, które krakowska partya reprezentuje.

Drugi odczyt na dochód przyszłego Stowarzyszenia literackiego udał się równie jak pierwszy w sali ratuszowej. Pan Gustaw Fiszer przeczytał humoreskę autora „Kłopotów Starego Komendanta“ znaną pod tytułem „Kapitan-profesor.“ Pierwszy raz słyszeliśmy publicznie czytającego p. Fiszera i musimy przyznać, że on nie czyta, ale gra: Urabiając gestykulacyę twarzy stosownie do opowiadanej akcyi, naśladując głos i ruchy występujących osób, sprawia, że słuchający widzą przed sobą żywe postacie z opowiadania autora. Winszujemy p. Fiszerowi i na tem polu prawdziwego talentu, nie zawiedzie się ten autor, który swój utwór do czytania jemu powierzy. Publiczność doborowa, widocznie zadowolnioną była z odczytu i nie wątpimy, że pierwsza próba czytania wesołych powieści na prelekcyach znajdzie dobre przyjęcie u tutejszej publiczności, jeżeli je prelegenci tak wybornie jak p. Fiszer odczytać potrafią.

Pan Duchiński tego samego dnia mówiąc o znaczeniu etnograficznej wystawy polskiej w Paryżu, objaśnił nas dla czego tak późno wzięto się do jej urzeczywistnienia: winą to było krakowskich uczonych, którzy przyjąwszy obojętnie wezwanie francuskiego prezesa antropologicznej komisyi, zdecydowali się odpowiednie okazy umieścić w oddziele austryackim na wystawie paryskiej. Dopiero przyjazd prelegenta poruszył tę sprawę na seryo, wskutek czego hr. Włodzimierz Dzieduszycki przesłał już do Paryża znakomitą część swych zbiorów etnograficznych, hr. Plater ze Szwajcaryi uczynił toż samo i mamy nadzieję znajdzie się jeszcze więcej w tym względzie naśladowców.

W polityce dusząca cisza i dalszy ciąg status-quo, które rutynowanych polityków lwowskich doprowadza do ostatnich granic cierpliwości. Tymczasem hr. Derby i czerwony książę Napoleon pierwszy w parlamencie angielskim, drugi w Revue de deux Mondes pozwalają sobie wątpić o stanowczości polityki i odwadze żołnierzy austryackich słowiańskiego pochodzenia. Zdaje się i my Polacy czujemy w sobie trochę owej krwi słowiańskiej*), i dla tego protestujemy głośno przeciw orzeczeniu szanownego hrabiego. Jeżeli przyjdzie do starcia z Rossyą dla wyzwolenia braci naszych z pod błogosławionych rządów obrońcy słowiańszczyzny, nieradzilibyśmy hr. Derbemu gdyby był przypadkiem sprzymierzeńcem Rosyi, liczyć na naszą krew słowiańską.

Ruch przedświąteczny już znać na ulicach naszego miasta: zwoje kiełbas niby gniazda spowitych wężów drażnią na każdym kroku przechodniów, a misternie wykrojone szynki z cukrową mapą po sobie, przypominając nam kształty kongresowego królestwa — nęcą apetyt podwójnie

*) Zastrzegamy się wobec *Dziennika i Ruchu*, że wspominając o cząstce krwi słowiańskiej w naszych żyłach nie jesteśmy nihilistami.

na szynkę i na Kongresówkę. Daj Boże, aby jedna i druga w tym roku nam dopisały. Kończąc w ten sposób nasze kronikarskie sprawozdanie przed świętami, życzymy czytelnikom naszym, aby im się udały jak najlepiej wszelkie baby, placki, mazurki i tym podobne wielkanocne specyfilie, po których brzydka połowa rodzaju ludzkiego niechaj do samych zielonych świątek palce oblizuje... Nie lękajcie się szanowne panie, przepowiadam wam niezwykły apetyt mężczyzn w tym roku tak, że do przyszłej kroniki mojej, z całego święconego nie zostanie śladów ubi Troja fuit, co znaczy, że wszystko jak się należy spałaszowanem zostanie... Przypatrzcie się tylko fizyognomii przyszłych niszczycieli, chodzą po ulicach jak zgłodniałe szakale, pożerając oczami na próbę nadobne autorki tych słodkich frykasów!

TEATR.

(Polemika z *Gazetą Narodową* Benefis p. Fiszera: „Ubodzy w Paryżu“, dramat w 7 odsłonach.)

Dla czegożbym się i ja nie miał wdać w polemikę, skoro mię do niej zapraszają? I owszem, polemika może tylko ożywić niniejszą rubrykę, i dla tego gotów jestem jej służyć, naturalnie dopóki nie zacznie czerpać bons mots z baciarskiego słownika lwowskiego.

Dotychczas była tylko mowa o cierpliwości papieru (*Gazeta Narodowa* Nr. 88.), cierpliwości starej, wypróbowanej, a tak dobrze znanej czytelnikom pism czy to tygodniowych, czy codziennych. Pod tym względem zupełna zgoda z *Gazetą Narodową*. Ale następnie powiedziano tamże, że jeżeli robię zarzut dyrekcyi teatru, iż od niejakiego czasu nie daje dramatów, to chyba „przespałem“ wszystkie przedstawienia aż do benefisu p. Ładnowskiego i tu dopiero się obudziłem. Jest w tem racya i nie ma w tem racyi. Przespałem ja w istocie, ale tylko Lola i Kuglarkę, bo tylko o tej miłej parze nic nie pisałem w obecnej rubryce, co jednak na złe dyrekcyi w żadnym razie wyjść nie mogło, nie należę bowiem do tego grona pedagogów, dla których Lolo ma być nowym Emilem, a Kuglarka — dajmy na to – Nową Heloizą. Mogłem był i niektóre inne przespać rzeczy, nawet z liczby „wyższych komedyi i dramatów“, bo mi się czasem potężnie spać na nich zachciewało, a jednak wytrwałem i nie przespałem, co sobie poczytuję za zasługę. Wiem zatem to samo, co i *Gazeta Narodowa*, że w ostatnim miesiącu przedstawiono „Dorę“ Sardou i „Krwawe piętno“ hr. Starzeńskiego, ale wiem także, że to mało, a to tem bardziej, że obie sztuki daleko niżej stoją od szeregu arcydzieł dramatycznych, które przecież ta sama dyrekcya dawniej przedstawiała, a do których potężną siłę artystyczną ma w panu Ładnowskim, siłę dzisiaj drzemiącą. Wiem dalej, że „Artykuł 264“ bynajmniej się do rzędu celniejszych komedyi liczyć nie może, i nie wiem na jakiej podstawie uzyskał nazwę „wyższej komedyi“, chyba dla tego tylko, że nie jest farsą à la Lolo.

Jeżeli zatem w przeszłym Tygodniu powiedziałem, że od niejakiego czasu dramat *usunięty* został z naszej sceny, to nie bardzo się omyliłem, i jakoś mi się wcale na skruchę nie zbiera. Zresztą dla miłej zgody, jeżeli chodzi o wyrazy, to gotów jestem cofnąć wyraz „usunięty“ i zastąpić go wyrazem „upośledzony“. Więcej zrobić nie mogę. Za to wolno mi zapytać, co znaczą następujące słowa *Gazety Narodowej*: „Dodajmy do tego, iż z 18 wieczorów w 12 grano dzieła oryginalne, a *z trudnością przyjdzie każdemu utrzymywać,* iż dyrekcya odzwyczaja publiczność od wzniosłych wzruszeń“. Jakiż tu związek pomiędzy oryginalnością utworów a wzniosłością wzruszeń. „Artykuł 264“ jest oryginalną komedyą, ale wzniosłych wzruszeń nie budzi; nie budzą ich i „Uproszone zaloty“, choć lepsze od „Artykułu“, a co się tyczy „Krwawego piętna“, to i tam jest więcej dobrych chęci, jak prawdziwego budzenia. Więc?... Cierpliwy papier *Gazety Narodowej* podaje drukowane słowa, ale głuchy i niemy, żadnych objaśnień dać do nich nie może.

Nie myśl jednak, czytelniku, żebym nie uznawał zasług położonych przez dzisiejszą dyrekcyę, i nie widział, w jak trudnem jest dzisiaj położeniu. Sądzę tylko, że niewłaściwych dobiera środków, ażeby wybrnąć z tego położenia i uważam, że jednym z najlepszych środków byłoby właśnie postawienie dramatu na dawnej stopie.

Benefis p. Fiszera przypomniał publiczności dawny dramat francuski p. t. „Ubodzy w Paryżu.“ Jest w nim dużo ruchu i życia, kilka postaci charakterystycznych, śmiało nakreślonych, wiele scen przyjemnych, zajmujących i wzruszających, tendencya całości dobra, wszakże niepodobna pochwalić paru efektów zbyt naciąganych, a co gorzej niezgodnych ze szlachetnym duchem tego ludowego dramatu. Pewna zacna rodzina, którą widzimy przedtem w bardzo miłem pożyciu domowem, popada w nędzę i na razie nie znajduje żadnego zarobku. Matka, córka i syn skazani są na cierpienia głodowe, zostaje im chyba wyciągnąć rękę po jałmużnę. To też kobiety, z osobna błądzące wieczorem po Paryżu, po kilku pasowaniach się z sobą, decydują się nareszcie wyciągnąć rękę — i wyciągają, w jednej chwili i do jednej osoby, a tą osobą jest, niepoznany przez nie, brat jednej a syn drugiej, równie jak one cierpiący męki głodowe. Nie dość na tem, po tej niefortunnej próbie żebraniny, kobiety postanawiają odebrać sobie życie za pomocą zaczadzenia się, co też uskuteczniają i tylko wczesny ratunek wyrywa je z objęć śmierci. Obie te sceny są bardzo nieprzyjemne, bo wyciągnienie ręki po jałmużnę, straszliwy krok dla istot szlachetnych, odbywa się zanadto z kopyta, niepoprzedzone dostatecznem rozwinięciem pobudek, a scena z węglami byłaby jeszcze na poły znośną, gdyby te kobiety nie dowiodły były przedtem, że przecież potrafią zdobyć się na wyciągnięcie ręki; nie odraza więc od wszelkiej myśli o jałmużnie, ale niedołęztwo zdaje się je popychać do samobójstwa. Prócz tych jednak dwóch scen wszystkie inne są dobre, zajmujące i przyjemne.

P. Fiszer grał jak wirtuoz w roli żebraka, a szczególnie zajmującym był w mieszkaniu swojem na poddaszu.
J. T.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Bliziński Józef.* Przezorna mama, komedya w trzech aktach. 8ka, str. 37. Lwów 1878. 70 ct.

— *Engeström hr. W.* Sprawozdanie z obchodu jubileuszowego czterechsetletniej rocznicy założenia Wszechnicy Upsalskiej dnia 4. 5. 6. i 7. września 1877 roku. 8ka, str. 82 z widokiem miasta Upsali. Poznań 1877. 1.95

— *Hagen Karol.* Dzieje najnowszych czasów (1815 - 1848). Tom II. 8ka, str. 771. Lwów 1878 2 tomy. 7.50

— *Hamerski E.* Wypisy niemieckie dla klasy czwartej szkół średnich. Wydanie drugie. Lwów 1878 80 cnt.

— *Na wędkę,* komedya w jednym akcie z niem. przerobił A. Walewski. 8ka, str. 17. Lwów 1878 40 cnt.

— *Zalewski K.* Spudłowali, komedya w jednym akcie oryginalnie napisana. 8ka, str. 19. Lwów 1878 40 cnt.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ Wyszedł już Nr. 1. *Sanu* czasopisma społeczno-ekonomicznego, które z dniem 10. kwietnia br. zaczęło wychodzić w Przemyślu. Redakcya w słowie wstępnem powiada, „że główne rubryki pisma, poświęcone będą sprawom miasta naszego, jakoteż miast pobliskich, ze szczególnem uwzględnieniem spraw obwodu przemyskiego i sanockiego“. Szczególną przywiązujemy wagę do pism prowincyonalnych, gdyż rozwój ich uważamy za kwestyę wielkiej wagi dla oświaty w kraju. Słusznie ktoś powiedział, że ażeby oświecić lud (t. j. dokonać tego, do czego naród wszystkiemi siłami dążyć powinien) potrzeba naprzód rozpocząć od oświecenia klas tak zwanych oświeconych. Wszakże posiadamy dla warstw wyższych tyle zakładów naukowych, uniwersytetów i gimnazyów, tyle pism politycznych, literackich i specyalnych, że można uważać, iż pod tym względem robi się dosyć, przynajmniej względnie dosyć. Ale między klasami wykształconemi a ludem nie ma łącznika, nie ma pośrednich ogniw, gdyż warstwa średnia, stojąca po nad ludem, złożona z małomiasteczkowego mieszczaństwa, oficyalistów i tp. jest zbyt ciemna i zbyt mało interesuje się sprawami krajowemi, a właściwie wcale ich nie pojmuje. Rozbudzenie życia umysłowego w tych warstwach, pobudzenie ich do życia obywatelskiego będzie stanowczym krokiem na drodze do podniesienia oświaty ludowej. Z tego powodu każde powstające pismo prowincyonalne, mające na względzie podnoszenie miejscowych kwestyi, któremi może zainteresować ludność małomiasteczkową witamy szczerem „Szczęść Boże!“ i polecamy te pisma gorliwej opiece inteligencyi miejscowej, gdyż pismo, zanim zdobędzie sobie w odpowiednich kołach czytelników, potrzebuje poparcia i nie może być pozostawione tylko wysiłkom wydawcy, dla którego brzemię to byłoby za ciężkie.

Nr. I. *Sanu* bardzo obfity jest w treść umiejętnie zebraną. Spotykamy tam następujące artykuły: Słowo wstępne redakcyi. Przegląd polityczny. Korespondencya z Zagórza. Sprawy gminne. Stowarzyszenia. Towarzystwo muzyczne. Stowarzyszenie „Gwiazda“. Kronika. Z izby sądowej. Przemysł i handel. Ceny targowe. Kursa. Ruch pociągów. Z przemyskiego bruku, fejleton. Prenumerata kwartalna 60 ct.

San wychodzić będzie dwa razy na miesiąc. Jest to bardzo niepraktycznie. Pismo bowiem tego rodzaju koniecznie wychodzić powinno co tydzień. Wszakże wobec obowiązujących ustaw, wymierzonych przeciwko szerzeniu oświaty, jest to niemożliwe, gdyż pismo tygodniowe potrzebuje opłacać stempel, a przez to stałoby się drogiem i potrzebuje złożyć kilka tysięcy złr. kaucyi. Jest to jeden z licznych przykładów działalności naszej delegacyi w Wiedniu. Ona to swymi głosami przeważyła szalę za utrzymaniem dziennikarskiego stempla w jasno zrozumianym celu, aby oświata nie mogła sięgnąć do mas ludowych, aby ją tamować wszelkimi możliwymi środkami.

⁂ Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszła broszura p. t. *Litwa do Unii lubelskiej* przez autora „Poglądu na literaturę polską“.

⁂ Nakładem Wł. L. Anczyca wyszedł w osobnej odbitce Tadeusza Romanowicza Wykład miany na walnem zebraniu Tow. pedagogicznego w r. 1877 pt. *Społeczne zadanie nauczyciela wiejskiego.*

⁂ Nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie opuścił prasę 60 tomik Biblioteki Mrówki zawierający J. Słowackiego *Maryę Stuart.*

⁂ *Zdrowie,* dwutygodnik popularno-naukowy, poświęcony naukom przyrodniczym i hygienie, wychodzi w Warszawie od początku b. r. i znalazł tam bardzo sympatyczne przyjęcie. Widocznie Warszawiacy uważają zdrowie za rzecz dobrą, o której każdy człowiek sam musi myśleć skoro pismo Dra K. Dobrskiego znalazło tam uznanie, trzeba przyznać, zupełnie zasłużone. Mamy przed sobą Nr. 7. zawierający treść następującą: Kurara. Pogadanka fizyologiczna. O materyałach spożywczych i ich zafałszowaniach. Akwaryum. Drogie kamienie. Powietrze mieszkań naszych. Przegląd piśmienniczy. Kronika naukowa. Prenumerata kwartalna wynosi 2 złr.

ROZMAITOŚCI.

⁂ Cuda ogni stucznych w Japonii. Na obchodzie urodzin króla (Mikado) w mieście Yokohama, spalony został wśród dnia fajerwerk, który korespondent dziennika „Times“ opisuje jako wysiłek ogniomistrzostwa, o jakim w Europie, pomimo tak wielkich postępów chemii w zastosowaniu do rzemiosł, nie mamy wyobrażenia. Były tam bomby wyrzucane do nadzwyczajnej wysokości, które pękając, zmieniały się w dwa lub trzy kolorowe obłoki, naprzykład różowy, błękitny i zielony, obłoki te oświetlone słońcem, rozchodziły się coraz bardziej, rozszerzając się w rozmaitym kierunku. Z innej bomby wybuchały dwa balony w kształcie koguta i kury, i krążyły szerokiem kołem przez 5 minut. Innym razem był to smok dziwnej formy z niezmiernie długim ogonem dymu, albo mnóstwo różnobarwnych chorągwi. Ale najcudowniejszą była bomba po której pęknięciu, ukazał się podłóżny trójkąt, składający się z kilku tysięcy postaci dzikich gęsi, które, jak wiadomo, odbywają podróże gromadami, tworzącemi podobną figurę geometryczną, zaczynającą się od pojedyń-

czej przewodniczki, za którą następują dwie, trzy i tak dalej, w coraz wzrastającej liczbie. Nawet za pomocą dużej lunety nie podobna było stanowczo rozróżnić, czy to są rzeczywiste ptaki, czy jakieś niepojęte złudzenie. Na zakończenie, wyrzucano bomby, za których pęknięciem widać było po dziesięć lub dwanaście świetnych, jakby srebrnych kul, tworzących regularne wieńce i znikających jak bańki mydlane.

BUKIET AZALII.

Nowella.

„Date eleemosynam.“

Na przekór wojnie wschodniej, Paryż bawił się doskonale tej zimy. Zwłaszcza w połowie grudnia, dokuczliwe mrozy, przeplatane śniegiem i przejmującymi wichrami, stały się niejako pobudką do coraz bardziej ożywionych balów. Jest to pewnikiem nie potrzebującym dowodzenia, że im ostrzejsza zima, tem większa objawia się w ludziach ochota do zabaw, do popisywania się jednocześnie kosztownem futrem i najdelikatniejszemi koronkami. Już Jan Paweł Richter powiedział: „Bogaci, mający zwyczaj szydzić ze wszystkiego na świecie, znaleźli sposób żartowania i z zimy, widzisz, zdają się mówić do niej: gdy ty starasz się nam dokuczyć, my najlepiej się wtenczas bawimy, a gdy blade twe słońce znika z horyzontu, nasze brylanty przyświecają światu“.

W drugiej zatem połowie grudnia, młody prawnik, Paweł Dervieux, otrzymał pewnego poranku, przed wyjściem na sądy, maleńki różowy bilecik. Korespondencya pochodziła od ślicznej kuzynki, w której pan Paweł zakochany jest po uszy. W tem miejscu miałbym sposobność wypowiedzenia wielce pouczającej rozprawy o kuzynach i kuzynkach; powiedziałbym naprzykład... Ale nie będąc pewnym, czy w gronie czytelników nie znajdą się kuzyneczki i kuzynkowie, dla których rozprawa moja wydać by się mogła..... nudną, powstrzymuję kaznodziejski swój zapał i przystępuję wprost do rzeczy.

Bilecik ów następującej był treści:

„Pośpieszam uprzedzić cię, kochany Pawle, że dziś wieczorem idę z ojcem na bal do pani B. Uzyskałam pozwolenie, abyś i ty nam towarzyszył. Wiadomo ci, że nieoceniony ojczulek punktualny jest jak każdy stary wojskowy; nie zapomnij więc stawić się do apelu o kwadrans na jedenastą.

Do widzenia wieczorem, twoja kuzynka,

Klementyna Lorville.“

Paweł Dervieux, podobny nieco pod tym względem do wszystkich legendowych kochanków, przycisnął do ust wonny różowy bilecik i zawołał z zapałem:

— Będę gotów, o trzy kwadranse na dziesiątą!!

A jednocześnie dwudziesto-trzechletnie czoło jego opromienione zostało blaskiem nagłej genjalnej myśli. Jak Archimedes, odkrywający sposób poruszania świata z posad jego; jak Kolumb spostrzegający przeczuty przez siebie świat nowy; jak biedny Beethoven wreszcie, piszący wielką symfonię sielankową, której sam już nie miał usłyszeć; podobnież i on zawołać mógł w tej chwili: „Eureka!“ Że jednak bohater nasz nie był zarozumialcem, poprzestał na zwykłem „Ach!“ pełen wewnętrznego zadowolenia, wziął kapelusz i śpiesznie pobiegł do Palais-Royal, i tam, od jednej z najpierwszych kwiaciarek, w zamian za sztukę złota otrzymał bukiet japońskich azalii.

Każdy z was, najmilsi czytelnicy, miał lat dwadzieścia, lub też je ma obecnie, co jest okolicznością nader przyjemną, albo mieć je dopiero będzie, co byłoby rzeczą do pozazdroszczenia; w trojakiej tej kombinacyi, lubiliście wszyscy, lubicie albo też będziecie lubić kwiaty. Cała różnica w tem, że gusta bywają rozmaite. Jedni nad wszystkie kwiaty przekładają fijołki parmeńskie, inni zachwycają się różami, inni znowu wolą kamelie, a inni jeszcze nie znają piękniejszego kwiatu nad tulipany harlemskie. Kwiaty bowiem nie tyle działają na wzrok nasz, ile na uczucia; Paweł Dervieux, z tej samej wychodząc zasady, miał szczególniejsze upodobanie w azaliach japońskich; upodobanie będące wypływem może jakiego wspomnienia, może innych jemu samemu znanych pobudek, to tylko pewna, że posyłając bukiet kuzynce, rozmyślał sobie po cichutku:

— Azalie japońskie złotawej są barwy; Klementyna, jako czarująca blondynka, nie mogłaby przystroić niemi swych jasnych warkoczów, ale z bukietem azalii w ręku cudownie będzie wyglądać a wszystkie kobiety na balu, pozazdroszczą jej tak niezwykłej ozdoby.

Jak widzimy, Paweł Dervieux, chociaż początkujący dopiero prawnik, miewał czasami wcale niezłe pomysły.

Delikatna przesyłka dokonaną została z wszelkiemi możliwemi ostrożnościami. Czy przy bukiecie znajdował się i bilet? Na honor, nie wiem tego. Przyznam się nawet, że choćbym i wiedział, nie zdradziłbym ani jednem słówkiem podobnej tajemnicy; przedewszystkiem zaś, możesz mi zaufać, nadobna czytelniczko, że w danym razie, za nic w świecie nie ośmieliłbym się powtórzyć drukiem tego, co ołówek lub pióro zakreśliły dla jednej, jedynej tylko osoby..... Należę bowiem do rzędu tych ludzi, w pojęciu których bilecik miłosny tysiąc razy szanowniejszem jest pismem aniżeli weksel.

O trzy kwadranse na dziesiątą Paweł Dervieux wchodził do salonu kuzynki. Punktualność ta wywołała pochwały ze strony ojca:

— Doskonale, mój chłopcze — mówił pan Lorville — to mi się podoba! stawiłeś się o całe pół godziny wcześniej! zawód prawniczy nie popsuł cię jeszcze; godzien jesteś być żołnierzem!

Klementyna nic nie powiedziała, zarumieniła się tylko jak dojrzewająca wiśnia. Powód tego rumieńca z łatwością zapewne odgadną wszystkie jej rówienniczki, które..... które lubią taniec i bale.....

Ponieważ powóz czekał już w bramie, bezzwłocznie więc zeszli wszyscy na dół i zajęli w nim miejsca: Klementyna usiadła przy ojcu, a Paweł naprzeciwko nich, na przedniem siedzeniu. O mało nie zapomniałem powiedzieć, gdzie się znajdował bukiet, a jest to przecież rzeczą największej wagi; Klementyna trzymała go niby w ręku, ale rzeczywiście spoczywał na jej kolanach.

Kwiaty te, zrodzone pierwotnie pod palącem słońcem gorącej strefy, przeniesione następnie do łagodniejszego naszego klimatu, nie mniej przeto piękne, wydawały się w oczach młodej dziewicy stokroć cenniejszemi od korony królewskiej. Ze swej strony, początkujący nasz prawnik, widząc jak uprzejmego przyjęcia doznał jego podarunek, powtarzał sobie *in petto:*

— Nie będę tak dumnym z siebie w dniu, w którym wygram pierwszą moją sprawę!...

* * *

Czytelnicy zapewne nie zapomnieli jeszcze, że opowiadanie nasze rozpoczęło się w epoce zimowego porównania dnia z nocą. Pałac pani B. znajdował się na przedmieściu Saint-Honoré; nie zbyt to daleko z ulicy Helder, po kilku przecież minutach tej przeprawy, konie pomęczyły się jakby dobywały się na szczyt Kordylierów. Gołoledź była tak przykra i nieszczęśliwa, że jadąc nie poruszało się prawie z miejsca.

Komuż z mieszkańców Paryża obce są te dnie pochmurne i ciemne jak noc, owe noce czarniejsze od bezdennych podziemi? Napróżno zarząd miejski pomnaża liczbę rewerberów; mgła nieprzenikniona, którąby się i angielskiego nie powstydziła nieba, pochłania w sobie światło gazu nawet. Środkiem bulwarów i na trotoarów krańcach zaspy zbrukanego śniegu, powstrzymują na każdym kroku przechodniów, co jak widma z utworów Anny Radcliffe, przesuwają się po asfalcie, drżąc z zimna, od którego szal otulający szyję niedostatecznie ich ochrania.

Niestety! nie na tem ograniczają się złowrogie następstwa tej najsmutniejszej pory roku; ileż to biednych pogrąża ona w ostatnią nędzę!... Mery wielką kiedyś wypowiedział prawdę, o której nie powinniby zapominać panowie statystycy. Powiedział on: „Przez dwa tygodnie zimy więcej bywa męczenników w Paryżu, aniżeli było ich w Rzymie przez całe panowanie Nerona i Dyoklecyana.“ Tysiące ludzi przebiega ulicami, szepcząc półgłosem:

„Ah! aby prędzej do domu!“ — Ah! kominku mój, kiedyż zasiędę przed tobą!“ — Ah! żeby już raz dostać się do łóżka! do swojej izdebki na poddaszu!“

Nie mniejsza liczba milczących i posępnych postaci, znużonych i wycieńczonych, pozostaje na bruku, pod gołem niebem... bo nie mają dokąd dążyć, nie mają dachu pod którym schronić się można. Każdy wiek, każda płeć, zawód każdy, dostarczają ofiar nielitościwej zimie!...

Ale już słyszę zarzut, że dość tych smutnych myśli, że czas już nam wracać do kwiatów; wracamy do nich właśnie, lecz poprzednio trzeba było koniecznie przebyć tę przykrą ścieżkę, jak w Dante'm przebywa się kręgi piekielne zanim Beatrycze doprowadzi nas do raju.

Tuż przed pałacem, do którego podążyła kareta z azaliami japońskiemi, w półcieniu migającego światła latarni, poruszała się od czasu do czasu postać kobieca. Przebóg! miałażby to być rzeczywiście kobieta? O nie! zagadkowa ta istota zatraciła już w sobie wszelkie kształty ludzkości: to tylko nędza chodząca!

Nie wzdrygajcie się! Ta kobieta była może piękną kiedyś, ale kogo nędza raz porwie w swoje szpony, ten już nie ujdzie bezkarnie. Twarz jej wychudzona, zapadłe oczy, usta trupiej bladości, ot i wszystko co pozostało z ludzkiej istoty; dalej łachmany już same, szmata na szmacie i bose nogi zagrzęzłe w śniegu. Nie dosyć tego; na lewem ręku trzymała dziecko. Biedne dziecię! mizerne, wynędzniałe, pomarszczone; uśmiech nigdy jeszcze nie zawitał na jego twarzyczce, o uszy jego odbijały się tylko smętne śpiewki żebrzącej matki, a gdy podczas grudniowych mrozów, pozamarzały wodotryski miejskie, łzy matki były jedynym może jego napojem. Owego wieczora tem boleśniejszy był widok dwojga tych upośledzonych istot, że z pałacu, przed którym zatrzymała się żebraczka, rozlegały się pierwsze odgłosy balowej muzyki......

Lokaj otworzył drzwiczki; z karety wyskoczył Paweł Dervieux i podał rękę kuzynce.

— Litości! piękna pani! — wyjęczał głos jakby z innego pochodzący świata.

Klementyna zadrżała.

Nigdy jeszcze nędza nie przedstawiła się jej w tak wstrętnej formie. Zadrżała, ale jednocześnie zabiło dobre jej serce i mimowolnie sięgnęła ręką w kierunku kieszeni, gdzie zwykle mieściła się maleńka jej portmonetka.

Zapomniała, niestety, że w lekkiej balowej sukni, kieszonka wystarcza zaledwie na pomieszczenie koronkowej chusteczki — portmonetki w niej nie było.

Z ulicy rozległ się jęk powtórny.

— Pani nie porzucisz mnie tak bez wsparcia! jeszcze dziś nic w ustach nie miałam.

Skardze tej towarzyszył płacz dziecka.

— Ah! przyszła mi myśl; — zawołała Klementyna.

I podając żebraczce bukiet azalii, a drugą ręką ukazując na swego kuzynka, pana Pawła Dervieux, rzekła do biednej kobiety:

— Nie mam pieniędzy przy sobie, ale sprzedajcie te kwiaty temu panu, a otrzymacie od niego tyle, ile one kosztowały.

Biedna kobieta spełniła machinalnie rozkaz, prawie nie pojmując jego znaczenia; ale Paweł, który doskonale go zrozumiał, wyjął z kieszeni sztukę dwudziestofrankową, i pospiesznie wykupił z niewoli azalie japońskie.

— Oryginalne pomysły miewają dzisiejsze kobiety! — zawołał pułkownik Lorville, wysiadając z powozu. — Dawać żebraczce własny bukiet i to jeszcze bukiet dwudziestofrankowy! Za moich czasów, żadna kobieta nie dopuściła by się podobnej herezyi!

Gdy wchodzili do sali balowej, Klementyna przechyliła się z lekka ku swemu kuzynkowi i szepnęła mu do ucha:

— Kto chce dać jałmużnę, zawsze znajdzie coś do dania.

Słowa te młodej dziewicy należały do rzędu owych słów, które aniołowie chwytają w przelocie i jak drogocenne perły uczuć ludzkich składają u podnóża niebieskiego tronu.

F. Audebrand.

Treść Nr. 34. str.

O przechowywaniu tradycyjnych obrzędów. . 539
Między ludźmi, powieść, przez Bolesława Prusa. (c. d.) 540
Trzy bitwy i śmierć wodza przez J. S. S. (c. d.) 542
Hektor Servadac. Przygody w podróży po światach słonecznych, powieść Juliusza Verne'a (c. d.) . 543
Socyaliści. Wiersz. M. Rodocia . . 547
Panna kapitanówna, powieść, przez Marka Polnicza. (c. d.) 548
Pogadanki o Włoszech III. hr. Olgi Komorowskiej. 549
Wady publicznego wychowania ze stanowiska lekarskiego podług Dr. Bagińskiego napisał Dr. Adam Zagórski. (Dok.) 550
Tydzień lwowski 551
Teatr przez J. T. 553
Wiadomości z kraju i ze świata . . 553
Rozmaitości. 553
Bukiet Azalii. Nowella przez F. Audebranda. 554

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.